

ZOFIA NAŁKOWSKA

DOM NAD ŁAKAMI

1

Gdy myślę, jaki był sam początek, najpierwszy początek — czas najdawniejszy, kiedy nic było jeszcze naszego domu — to przypominam sobie taką rzecz:

Przy wejściu do lasu, z tej strony, gdzie przechodzi tor kolejowy, na kawałku gołego, żółtego piasku, bez płotu, bez jednego drzewka ani kwiatka, z nieznaczną zaledwie ciemniejszą plamą brudu i śmieci naokoło, stał kiedyś rodzaj domku, czy po prostu budy, zbitej z szarych desek, z jednym małym oknem i jednymi drzwiami, tuż przy tym oknie.

Pierwszy raz w życiu szliśmy drogą piaszczystą, idącą ode wsi wśród łąnów żółtego łubinu, w stronę najbliższego lasu — nic o tym nie wiedząc, że tam w jego głębi czeka już nas owo miejsce jedyne, miejsce, które musi mieć każdy, aby myśleć, że tam umrze.

Na samym progu lasu zobaczyliśmy ten domek, a przed nim czarna, chuda, wysoka, odziana w łachmany kobieta.

Gdyśmy podeszli, zdziwiliśmy się jej niezwykłej brzydocie. Nos jak dziób sowy, usta z jednym zębem, skrzywione w dół, szyja długa jak u oskubanego kuraka. Nic tu nie było, co by można uważać za okoliczność łagodzącą.

I miejsce, w którym stała, ten domek z desek — na tle niewysokiego, czarnego muru z choiny, nagie piaski wokoło i tor kolei — wszystko było beznadziejne i równie brzydkie jak ona. A przecież wystarczyło pójść dalej drogą w ów las, aby sosny stały się wielkie i piękne, aby łagodne pod nimi wzgórza i wysłane mchem i zaroślami doliny zachwyciły oczy dziecięce. A dalej jeszcze, gdy się szło wciąż głębiej w te wzgórza leśne, wznosiła się wreszcie ostatnia góra, z której rozwierał się poprzez pnie i gałęzie osin, olszyn i dębów najcudniejszy widok na łąki nie mające podobnych sobie, pełne słońca i kwiatów, pocięte smugami krzaków olszowych, zamknięte innym, dalekim lasem.

Było to miejsce zbyt podobne do jednego innego miejsca, utraconego już wtedy bezpowrotnie. Bo taka sama łąka rozciągała się u stóp wzgórza, na którym stał inny dom, i taki sam miała las na horyzoncie. Tylko nie było tu rzeki, która tam płynęła, może i wzgórze było tutaj mniejsze. I nie było drzew takich starych, jak tam, i nie było cienistego ogrodu.

Rozpytywałyśmy się, jak tam było, bo pamiętałyśmy tak mało. — Raz tylko nas tam zawieziono, jako małe dzieci. Raczej utkwiły nam w pamięci owce, widziane wtedy pierwszy raz w życiu. I konie, wszystkie białe w czarne i szare kółka, cztery konie, które nazywały się siwe, chociaż tylko jedna para była stara, a druga młoda. I zwłaszcza jeden z nich, na którego grzbiet ciepły i szeroki posadzono mię na chwilę, abym wreszcie wiedziała, jak to jest.

I tak — żal za tym, co było, sprawił, że powstało coś nowego. Na tej ostatniej górze leśnej nad łąką w rok później stał już nowy dom.

Dom był mniejszy, drewniany — nie piękny, murowany, jak tam. I lewkonie, kwitnące tam wtedy przed wielkim, kamiennym tarasem, nie chciały tu rosnąć tak łatwo. I nie było nad urwiskiem niskiego murku, obrośniętego caprifolium, murku, z którego można było spaść w dół na kamienistą drogę z wracającymi do domu owcami, krowami i końmi — i na pewno się zabić.

Ale z obu stron drzwi oszklonych do jadalnego pokoju były i tu dwa okna wysokie i węższe od innych, jak podobno były tam. Ale posadzone były przed domem klony i jesiony, jak tam.

I z kolei dla nas — dzieci — ten dom stał się wzorem dla innych domów i miara, i prawem, i najdroższym na zawsze wspomnieniem.

Muszę to teraz powiedzieć: domu drogi, gdzie nie ma już mnie, gdzie najbliżsi, w cudne letnie wieczory pod lampą wiszącą w tym za małym jadalnym pokoju, który tak wesoło wygląda z dołu

przez gałęzie, gdy się wieczorem idzie drogą nad łąką — myślą może teraz o mnie i pamiętają — o, domu mój drogi, najlepsza, najbliższa łez tęsknota moja jest zawsze przy tobie!

I jeżeli stanie się, że umrę gdzie indziej, to jednak o tym właśnie pomyślę w ostatniej godzinie, pomyślę tymi samymi słowami, które powiedziałam już raz: dom swój i przystań ostatnia.

Ale zanim jeszcze stanął nasz dom, ujrzałyśmy wtedy tę starą kobietę na wydmuchu piasków. Stała i patrzyła ku nam jednak z życzliwością. Pierwsza też wszczęła rozmowę.

— To państwo także tu szukają czegoś do kupienia?

Nie, ściśle mówiąc, nie mieliśmy jeszcze wówczas tego zamiaru.

— Bo te lasy precz są do sprzedania. I ten grunt Perguła, na którym mój się zbudował, już jest sprzedany. To kupił jakiś bogacz i będzie tu zakładał ogród. Nazywa się Fersen.

— No, jak to, a z wami co będzie?

— Nic. Perguł jest dobry człowiek. To to się rozbierze i znowu przeniesie na inne miejsce. Mojemu Perguł wydzierżawi gdzie indziej te parę łokci i będziemy tak mieszkali, jak tutaj.

Przenosili się widocznie z tym domem jak z kuferkim.

— O, teraz państwo tutaj precz będą kupowali. Takie ładne strony.

Pomimo swej złej i dziwacznej miny była to widocznie kobieta dobra i nawet miała pogodne usposobienie.

Z dalszej rozmowy okazało się, że ten kąć pustylny i ubogi także wydawał się jej ładny. Ujęła to w formułę, która już wtedy wydała nam się godna uwagi. Powiedziała mianowicie:

— Mąż pójdzie do roboty, syn poleci do kolei, ja wyjdę, popatrzę — i wesoło mnie!

Ta jej pogoda wrodzona i optymizm utkwily nam wszystkim w pamięci, jako wzór godny i zarazem trudny do naśladowania.

Kobieta ta nazywała się Millerowa. Jej mąż Miller był zdunem i chodził naprawiać piece w całej okolicy, ale ponieważ w owe czasy nikt tam prawie nie mieszkał, więc zarabiał niewiele. Syn wyrostek odnosił pakunki z kolei, a córka była gdzieś we wsi za mężem.

Wkrótce później Millerowie rzeczywiście przenieśli się razem ze swym domkiem na inne miejsce — równie zresztą brzydkie i puste — i nie postawili tam ani kawałka płotu, nie zasadzili nawet jednego drzewka. Ale i tam też Millerowej — gdy wyszła i popatrzyła — było wesoło.

Ostatecznie nieznanym mi bliżej ów Miller zginął jakąś śmiercią niejasną — w noc zimową, w lesie. Nie dla rabunku przecież zabito tego nędzarza. Powiadano, że złapali go na kradzieży torfu i zbili tak, że nie dowłókł się już do swego przenośnego domu. A znowu syn Millerów dostał kiedyś kaszlu, poszedł do szpitala i też tam umarł. Wtedy Millerowa, zostawszy sama, sprzedała deski z domu i poszła do córki.

Nie widziałam jej więcej. Opowiadano, że córka nie

chciała jej przyjąć do domu, że ją biła i wypędzała — aż wreszcie Millerowa musiała iść na żebrzy. I nawet nie wiem, kiedy i gdzie umarła. Zniknęła jakoś bez wieści i śladu.

Ale pozostały po niej te niezapomniane słowa pogody i afirmacji, żyjące w naszej pamięci.

— Mąż pójdzie do roboty, syn poleci do kolei, ja wyjdę, popatrzę i wesoło mnie!

Miejsce, gdzie na początku stał domek Millerów, zmieniło się do niepoznania. Cała połać piaseczku i młodego, nieładnego lasu sosnowego ujęto w świeże, jasno pomalowane sztachety, a prawie nad samą drogą — w miejscu chyba najbrzydszym — stanęła drewniana willa, nieduża, ozdobna, z werandą na dole i ażurowymi balkonikami na piętrze, z trawnikiem i kępami krzewów parkowych przed oknami.

Na miejscu zmiecionego z oblicza ziemi życia Millerów zakwitło tu życie nowe i niezupełnie zwykle.

W willi zamieszkał starszy wysoki, pan, z siwą brodą i bardzo niebieskimi oczami. W stronę miasta chodził w szarym płaszczu i popielatym cylindrze — i wyglądał w tym rzeczywiście bardzo elegancko, ale w sposób trochę nietutejszy i cokolwiek jakby staromodny.

Na codzień ubierał się w koszulę z surowego jedwabiu i pilnował w ogrodzie ludzi, którzy sadzili drzewa i kopali klomby i ścieżki. Lubił widoczne ogród, sam pielęgnował kwiaty i wkrótce dochował się pięknych róż.

A wtedy przyszedł do nas z takimi różami w ładnym małym koszyczku i powiedział, że jako sąsiad zapragnął poznać nas bliżej. Płaszcz zdjął, ale ten popielaty swój cylinder trzymał w ręce przez cały czas. Prawda, że był krótko. Zachowywał się bardzo grzecznie i widać było z rozmowy, że czytał dużo książek i że jeździł po świecie. Mówił też o swym majątku, który znajdował się gdzieś dosyć daleko. Okoliczności tak się złożyły, że nie może teraz tam gospodarować. Więc sobie tutaj, w bliskości miasta, urządza sad i ogród, by mieć zajęcie, które lubi.

Później przyjechała do niego jego uboga wnuczka, która zarabiała na życie lekcjami języka francuskiego i z dziadkiem też rozmawiała po francusku. Była ruchliwa, bardzo żywa, śmiała się głośno, chodziła prędko, nawet biegała, chociaż była dorosła. Nam wydawała się ponadto prześliczna i pięknie ubrana. A na zimę znowu wyjechała do miasta.

Ten najbliższy naówczas nasz sąsiad wyrażał się po polsku zupełnie poprawnie, ale nie był Polakiem, a nazwisko jego brzmiało Fersen. Okazał się byłym wyższym urzędnikiem na emeryturze. Przyszedł do nas później jeszcze ze dwa razy — zawsze jednakowo uprzejmy i grzeczny. Ale przestał wreszcie przychodzić, niczym do tego nie zachęcony.

Mimo to znaleźliśmy się jednak. Willa pana Fersena stała przecież tak blisko nad tą drogą, która łączyła nas z pocztą, dworcem kolejowym i w ogóle światem, a pan Fersen cały czas spędzał w ogrodzie i zawsze pozdrowiał nas, gdy przechodziłyśmy, czasami wychodził nawet na drogę, by chwilę porozmawiać.

Był to piękny naprawdę starzec i robił jak najlepsze wrażenie. A przecież coś jednak sprawiało, że nie można go było uważać za znajomego. I nie tylko, że nikt od nas nie był u niego, ale nawet często drogę w tym miejscu obchodziło się lasem, by uniknąć tego spotkania.

Nie pamiętam zupełnie, jak poznałyśmy pannę Sylwię i jak się to w ogóle mogło stać. Zapewne po prostu, stojąc kiedyś obok dziadka w ogrodzie, wtrąciła się do rozmowy, oddała pozdrowienie. Kiedy zobaczyłyśmy ją raz w lesie, niedaleko naszego płotu, była już naszą znajomą. Wypadało się przywitać. Szła prowadząc na smyczy młodego wyżła, białego w czarne łaty. Wydała nam się, jak zwykle, bardzo ładna, była czyściutko i jasno ubrana. W pewnej chwili pies wyrwał się z jej ręki, podbiegł do nas i zaczął się z nami bawić. Panna Sylwia zaraz powiedziała, że nie gryzie i że nazywa się Bob.

— My nie boimy się żadnych psów — pośpieszyłyśmy ją uspokoić.

Roześmiała się głośno i znalazła, że to dobrze, iż jesteśmy takie odważne.

Powiedziała też, że znowu przyjechała do swego dziadka na letnie miesiące i że chętnie wzięłaby lekcje francuskiego, gdyby kto w tych stronach chciał się uczyć.

Nie wiedzieliśmy, czy jest ktoś taki, nie znaliśmy nikogo. Ale panna Sylwia podobała nam się bardzo.

Zapragnęliśmy wiedzieć, czy nie przykrzy jej się mieszkać tak na wsi, tylko we dwoje z dziadkiem.

Roześmiała się znowu i powiedziała, że wcale nie. Że na wsi jest przyjemnie, a przy tym dziadek jest dla niej bardzo dobry.

Mówiąc, jednocześnie wołała swego Boba, który nie chciał wrócić. Biegała za nim i usiłowała nadeptać nogą na smycz, wlokącą się za psem po mchu zielonym. Ale wymykała jej się ciągle.

Złapałyśmy psa i smycz oddałyśmy jej do ręki.

— Muszę go zawsze trzymać na smyczy — mówiła panna Sylwia dziękując. — Jest jeszcze taki głupi i ciągle mi ucieka...

W tej chwili zawołano nas od strony domu. Dygnęliśmy prędko i puściliśmy się przez bramę i ogród, by zdążyć w porę i nie narażać się na zbyteczne pytania i wymówki. Skoro starsi nie pragnęli znać bliżej pana Fersena i jego wnuczki, to i nam wypadało do tego się zastosować. Ale to znów nie znaczy, by nie można było z nikim zamienić paru słów... Nie lubiliśmy żadnej przesady.

Fersenowie mieszkali zresztą daleko od nas, na samym brzegu lasu. I takie spotkanie z panną Sylwią było rzeczywiście czymś zupełnie wyjątkowym.

3

Miałyśmy wtedy jeszcze obie mało lat i nasz dom stał na górze w lesie zupełnie sam. Można było długo iść w różnych kierunkach i na próżno szukać człowieka — bez żadnych zresztą niesmacznych żartów diogenesowych z latarnią, ale po prostu dlatego, że nikogo tam nie było. Z okien też nie widać było siedzib ludzkich — oprócz jednej, daleko, za łąką i polami, chałupy, obory i stodoły Nowaka.

Był dom, był las, trochę zwierząt — a poza tym już tylko psychologia. Zupełnie jak w skandynawskiej powieści.

Były też niewątpliwie rozmaite głębokie tajemnice, schowane w różnych kwiatach, w jednym krzaku leszczyny, z którego wycinało się najgrubsze gałęzie na łuki, w stawie, leżącym na końcu lasu, gdzie był utopiony pies, a zwłaszcza pod wielkim kamieniem w bardzo głębokim i dosyć wąskim rowie granicznym, za—rosłym od wałów aż po dno zupełnie już dużymi sosnami.

Ściany rowu były z piasku, a na dnie mokrym i zielonym rósł mech i sitowie. Wiosną huczała tam w dole bystra woda, dwiema stronami omijająca ów kamień i rozszerzała się w tym miejscu, jak pierścień na przyjęcie perły. W związku z tym kamieniem mogły się były odbywać zdarzenia doniosłości niezmierniej — w jakieś noce pochmurne i zarazem księżycowe. Wszelako nie odbyły się nigdy.

Kamień rozsadzono dynamitem i w gruzach zawieziono do miasteczka na bruki, rów podzielono między nowych właścicieli. Ale w miejscu, gdzie leżał niegdyś ów kamień, pozostał na zawsze głęboki, rozmyty wertep, na wiosnę pełen huczającej wody, która już nie miała czego obejmować ślicznymi, młodymi, chłodnymi ramionami.

Ten rów dalej szedł na łąki i tam robił się płytki, cienisty, zielony, pełen kwiatów — zupełnie inny. Na brzegach rosły tylko olszyny, i to dosyć rzadko. Bliżej lasu kwitnęło tam na wiosny mnóstwo białych anemonów, a dalej, głębiej w łąki — złote kaczeńce, kwiat ukochany dzieciństwa, wychodzący z wody na powietrze w chłodne, wietrzne dni kwietniowe.

Kaczeńce najpiękniejsze były właśnie wtedy, gdy w wodzie odbijały się chmury granatowe, a one razem z jasną, młodziutką trawą wodną wyglądały tak, jakby wciąż jeszcze świeciło słońce. I im chmurniejsze było niebo i woda, tym bardziej one były pogodne.

Najważniejsza jednak była uroczystość pierwszych sasanek, dużych, kudłatych kwiatów fioletowych, obrosłych szarym futrem. Gdy się zjawily, to znaczyło, że już jest początek. Kwitnęły co roku w tym samym miejscu, między sosną i małymi jałowcami, na największej naszej górze, od północy. Czasami niedaleko od nich leżał jeszcze śnieg.

Trzeba było dosyć daleko iść wzdłuż tego rowu po łące, żeby dojść do jednych wierzby, które tylko tam rosły. Miały bażki wcześniej niż inne wierzby i do tamtych niepodobne, zupełnie okrągłe, jak kulki, puchate, złote i pachnące tak precudnie, że nosa od nich nie można było oderwać. Pachniały zupełnie jak bez, tylko jeszcze ładniej, daleko ładniej! Po te kotki chodziłyśmy czasem, jeszcze jak woda była bardzo zimna — i później miałyśmy nogi okropnie czerwone i szczypiące.

Zdarzały się inne jeszcze rzeczy, też bardzo ważne, dające na długo niewyczerpany materiał do rozmyślań.

Takim zdarzeniem w naszym życiu był pewien zajac, który raz zasnął pod sosną niedaleko nawet od domu i wcale nie zauważył, żeśmy do niego podeszły. Myślałam, że jest chyba chory albo może oswojony, ukłękłam przy nim na suchych sosnowych igłach i pogłaskałam go po łbie. Dziś jeszcze pamiętam, jaki miał miękki i ciepły puch na czole i między uszami. Wcale nie był

chory, bo jak się obudził, to dał takiego susa, żeśmy przez długą chwilę stały naokoło pustego miejsca, nie wiedząc, co się zrobiło. A on sadił przez krzaki, aż góra dudniła.

Kiedy indziej znowu pokazałyśmy jednej z wielu wiewiórek, wałęsających się po naszych drzewach, z daleka parę orzechów na dłoni. Wiewiórka siedziała dosyć nisko na akacji, schyliła łeb i trochę się przyglądała. Wreszcie powoli zeszła na pień i ostrożnie, z głową na dół, wyciągnęła pysk do tych orzechów. Z bijącym sercem, pełna wzruszenia i niedowierzania, podałam jej jeden orzech, a ona wzięła go w zęby i na trochę wyższej gałęzi spokojnie zjadła. Później zeszła jeszcze po drugi i po trzeci orzech, a kiedy miała dosyć, to się pomieszała z innymi wiewiórkami i nie można jej było poznać. Pokazywałyśmy później orzechy różnym wiewiórkom, ale żadna nie tylko nie zeszła do tych orzechów, ale nawet nie zwróciła na nie żadnej uwagi. Co to było, nie wiem — i w długich naszych rozmowach we dwie na próżno nieraz usiłowałyśmy tego dociec.

Wodę do polewania kwiatów brało się z rowu nad łąką, gdzie żyła masa wstrętnych wodnych stworzeń. I zawsze z sitka od polewaczki wychodziły przez dziurki różne ogony takich nieumyślnie nabranych z wodą zwierząt, bo głowy zwykle były większe i już się nie chciały przez te dziurki zmieścić. Trzeba było wyjmować sitko z polewaczki i — choć to było obrzydliwe — wytrząsać na powrót do rowu te zwierzęta, żeby się nie męczyły. A to wcale nie było łatwe, bo one nie mogły zrozumieć, o co chodzi, i jakby naumyślnie siedziały właśnie z całej siły w tych dziurkach i trochę nawet zakręcały swoje ogony.

Przeważnie były to kijanki żabie i okropne, trochę włochate, dreszczem przejmujące larwy, o których wiedziałyśmy, że z nich wychodzą łątki prześliczne i później fruują nad wodą. Wiedziałyśmy niby — ale nikt tego nie brał na serio, nikt w to naprawdę nie wierzył.

Tymczasem raz na jakimś wielkim wodnym badylu znalazłyśmy taką łątkę, która niezupełnie jeszcze wyszła z larwy. Każdą nogę wyjmowała po kolei z wstrętnej, puste, przezroczystej nogi potwora. Była duża i szafirowa, ale zupełnie miękka i trochę nawet wilgotna. A jak tylko wyszła, zaraz poleciała.

Wtedy też zauważyłyśmy, że łątki właściwie nie fruują, tylko przesuwają się po powietrzu — jakby były na nitkach.

Wielki, jasnozielony konik polny, który chodził po stole przy jedzeniu, mysz chowana w pudełku od cukierków, diademy, plecione z sitowia i poutykane piórami, do udawania Indian, naszyjniki z jarzębiny, szalasy z gałęzi i fortece z kamyków, dwa równoległe ogródki, ogrodzone patykami, gdzie rosły nasturcje, dynia, słoneczniki i trochę sałaty, która się sama zasiała — takie było nasze życie.

I oto raz Władysław poprawiał osypany wał na granicy naszego lasu. Wtedy to zupełnie wystarczyło, bo letnicy nie zapuszczali się wcale w te strony. Pogłębiał trochę rów po północnej stronie, u samych stóp góry, wzdłuż drogi, po której nigdy prawie nikt nie jeździł, i piasek sypał na wierzch wału.

My zaś dotrzyśmy mu towarzystwa przy tej robocie, rade w ogóle jakiejś rozmaitości. Prócz nas był tam jeszcze Burek, nasz pies ówczesny, żywcem kupiony od Nowaka, już razem z tym niemądrym przewiskiem. (Z bratem Burka, który został u Nowaka, było pod tym względem jeszcze gorzej, bo nazywał się Mularz. Pies — żeby się nazywał Mularz!). O tym Burku to da się powiedzieć, że zwykle i nawet prawie zawsze był poważny, ale kiedy już zaczął się bawić, to zaraz wpadał w przesadę i przechodził wszelkie granice. Raz w najlepszej myśli, kiedy nie był wcale zły, pogryzł nas do krwi, więc trzeba było mieć się z nim na ostrożności.

Po drugiej stronie drogi leżały niskie torfowiska, zarosłe brzożami i chojakami, małe wśród lasu polanki pokryte były ścisłym mchem, niby sierścią burozieloną, pełną na wiosnę białych kotków wełnianki, zupełnie jakby oblażłe kłakami waty. W lecie rosły tam łochinie, którymi się podobno można upić, jak ich się zje dwie kwarty. Nieraz chcieliśmy się nimi upić, ale zawsze gdy je zbierałyśmy, jadłyśmy jednocześnie — i nigdy nie można było zmierzyć, ile ich było naprawdę. W jesieni znów miałyśmy tam masę borówek. Były to wszystko grunty nie wiadomo czyje, ze stawem w środku, wykopany kiedyś przez kogoś, co się od dawna z tych stron wyniósł, nasze niepodzielne przez rok okrągły królestwo. Miałyśmy tam kąpiel latem, a zimą ślizgawkę.

Ów dzień zaś, kiedy to Władysław sypał wał na granicy, tym był pamiętny, że w sosnach trochę dalej, na drugim brzegu drogi, zobaczyłyśmy niespodzianie białą kupę drzewa, jakieś leżące bale i trochę cegieł.

— Co to tam jest? — dałyśmy wyraz żywemu zainteresowaniu.

— A to się buduje ślusarz z Warszawy.

— Oo!

Wiadomość była sensacyjna. Okazało się, że Władysław był już widział nowego sąsiada i powziął o nim niejake wiadomości. Ślusarz z Warszawy, który miał nawet przedtem restaurację. Buduje się — i tutaj będzie mieszkała jego żona, a on będzie tylko przyjeżdżał co tydzień z roboty.

— A dzieci? — czy będą i dzieci?

— Dzieci nie będzie. Jest tylko jeden syn, ale już dorosły, urzędnik, który gra na skrzypcach.

Wiadomość odbierała po prostu równowagę umysłu. Czy prędko się zbudują, czy kupili wszystko i ze stawem, czy będą mieli swoją studnię, czy na przykład ich kury nie będą przechodziły na nasze.

Kupili tylko morgę, wytną las, zasadzą trochę kartofli, zasieją gryki. Ślusarz nazywa się Dziobak.

— Oo!

Poszłyśmy drogą kawałek w tamtą stronę i z niejakiego oddalenia dobrze przyjrzałyśmy się złożonemu drzewu i cegłom. Prócz tego była jeszcze kupa piasku i wpuszczona w ziemię skrzynia na wapno. Dwóch ludzi ukazało się od strony stawu z wodą w wiadrach. Kiedy wlali je w ziemię, buchnął stamtąd słup pary.

— Wapno lasują — objaśniłam.

Oddaliśmy się w zadumie. Któż może wiedzieć, co jutro przyniesie, jakich ludzi los przeznaczył nam na najbliższych sąsiadów. Staraliśmy się na próżno przeniknąć mroki

przyszłości,

Nie przeszły i dwa miesiące, kiedy dom stanął pod dachem, Dom! tak się to mówi! Raczej zaledwie coś domowatego, chałupka na kurzej stopce. Na wierzchu dach z czarnej tektury, od przodu malutki ganek na dwóch palikach — weranda, jak powiedziała pani Dziobakowa.

Tak. Należy wyznać, że zawarłyśmy tę znajomość, nie bacząc, czy nie postępujemy czasem lekkomyślnie. Ale czyż może nie być lekkomyślną młodość?

Biegłyśmy wtedy po owej drodze granicznej wyciągniętym klusem, wrzeszcząc dosyć niedyskretnie. W ten sposób dawałyśmy wyraz radości, wynikłej z otrzymania nowych lejców. Lejce były z taśmy czerwonej, obwieszone małymi dzwonekami. Uciecha mogła się być wydawać przesadna tylko komuś, kto nie rozumie, co to znaczy obywać Hit; zamiast lejców zwyczajnym szpagatem.

Biegłyśmy tedy ową drogą, jak gdybyśmy już rzeczywiście wcale nie mogły gdzie indziej bawić się w konie.

Pani Dziobakowa znajdowała się właśnie pod tę porę przed domem i ryła w błocie małe, kręte ścieżki swego przyszłego ogródka.

— Dzień dobry pani. To pani tu będzie mieszkała?

Rozmowa potoczyła się gładko. Pani Dziobakowa była osobą otyłą i niemłodą, ale głowa jej zachowała dawną piękność rysów. Z krótkiego opowiadania powzięłyśmy wiadomość o minionej rodzinnej świetności. Państwu Dziobakom dobrze się kiedyś działo, mieli restaurację na Zielnej, gości porządnych, cztery córki i pięciu synów. Ale jaki majątek temu nastarczy: w jeden rok wyprawić dwa wesela i trzy pogrzeby. Naprzód umierały córki, później synowie. Brat pani i teraz jest bogaty, też trzyma restaurację, syna posyła do gimnazjum, ale bogatemu nic do biednego, trzeba swoimi dziesięcioma palcami się odrabiać. Teraz mąż jest w żelaznej fabryce, ona tu. Oto wszystko, co na razie można było ustalić.

Wróciłyśmy do domu, owiane niejaką tajemniczością, pełne zadumy. Miałyśmy już poza domem nasze własne stosunki.

Nie mogę nie wspomnieć w tym miejscu o szczególnym postępowaniu Burka. Wobec tej doniosłej zmiany, jaką zjawienie się sąsiedztwa wprowadziło do naszego trybu życia, Burek zachowywał się opornie i, aby tak rzec, negatywnie. Nierzadko można go było znaleźć na samym końcu naszych posiadłości. Siedział na wale i monotonnie szczeakał w próżnię. Okazywało się jednak zwykle, że szczeakał tak na panią Dziobakowa, która, nie przywiązując do tego wagi, grzebała rydlem w błotnistym swoim ogródku. Wysokie, okrągłe klomby, powstałe na skutek głębokiego wyżłobienia i po brzegach odarniowane, wyglądały trochę, jak świeże groby. Podobieństwo zwiększyło się jeszcze, gdy wyrosły na nich gęsto bujne kwiaty.

Pani Dziobakowa zaopatrzyła się wkrótce we własne zwierzęta. Na szcekaninę Burka odpowiadał teraz płaczkliwie mały szczeniak, wielce anemiczny i chorowity, uwiązany na szpagacie do gwoźdźcia w ścianie i często bity za to, że za dobry i żeby szczeakał. Robił tedy, co mógł, skowyczał i warczał, chorował na żołądek, nudził się i ogromnie martwił całymi dniami. Niczym nie można było zmiękczyć jego losu. Gdy raz, ujęty naszymi miłymi słowami, machnął weselej ogonem i na chwilę przestał się irytować, od razu dostał za to bicie. Zapomniałam powiedzieć, że nazywał się Trezor.

Drugim zwierzęciem był młody kot, czarny bardzo i taki chudy, że w biały dzień robił wrażenie widma. Chodził na swych nogach cienkich jak patyczki, trwożliwie i ostrożnie, zupełnie jak ta syrena u Andersena, której ogon zamienił się na nogi, ale pod warunkiem, że każdy krok będzie ją

okropnie bolał. I nawet tak wciąż miauczał przerywanie i cicho, jakby postękiwał.

Pani Dziobakowa skarżyła się na niego, że sobie nie łapie myszy, ale był pewnie za mały i zresztą może w takim nowym domu myszy jeszcze nie było. Mówiła nam też, że jest bardzo nienasycony. „Tak się najadł, że mało nie pękł, a nie znać po nim”. Już co prawda, to prawda, istotnie nie było znać.

Prócz tego do dwóch pni sosnowych uwiązane były za nogę dwie kury, otoczone mrowiem swych puchatych piskląt. Tym kurczętom dzioby się po prostu nie zamykały. Każde co chwila mówiło p i a , p i a , a ponieważ ich było bardzo dużo, więc ani na chwileczkę nie mogło się zrobić cicho. Kwoki starały się chodzić za dziećmi na długość sznurka i naturalnie trochę okręcały się około sosny. Aż wreszcie leżały obie z wyciągniętą w tył łapą i dziobem otwartym z gorąca i smutku. Tylko czasami gdakały na małe, które rozłaziły się i ani myślały słuchać. Bo żadna matka w takiej głupiej pozycji nie zachowa powagi wobec swych dzieci, a cóż dopiero zwyczajna kura.

Dwa razy na dzień pani Dziobakowa przychodziła i odkręcała kury, ale one bardzo prędko zakręcały się na nowo. Trochę w tym było ich własnej winy, bo przecież mogły uważać. A puścić ich pani Dziobakowa nie mogła, bo kury drapią i ani jednego kwiatka w ogrodzie nie zostawia.

Było jeszcze prosię, również na sznurku za tylną nogę do kołka uwiązane. W nosie różowym miało drut, skręcony tak, by je kłuł, gdyby chciało pyskać. Takiego prosiaka jakby nie odrutować, toby wszystko spyskał. — Gdy go było podrapać patykiem pod gardłem albo koło ucha, to zaraz kładł się na ziemi i trochę ryj otwierał. Miał też bardzo zabawny ogonek. Ale ponieważ powiedział ktoś złośliwie o mojej literaturze, że ja opisuję, ile razy świnia ma zakręcony ogonek i w którą stronę, więc już nie będę opisywała tego ogonka. Ogólnie tylko zaznaczę, że gospodarstwo pani Dziobakowej zorganizowane było na dobrze pojętych zasadach ładu i ekonomii.

W pewną niedzielę dane nam było poznać samego właściciela posesji i owych zwierząt. Pani Dziobakowa zaprezentowała nam szczupłego, zgarbionego nieco pana o niezmiernie jasnym zaroście. Pan Dziobak przyjechał na wieś do żony w surducie bardzo długim i dosyć szarym i w meloniku, którego rondka opierały mu się na barkach i odgiętych uszach. Melonik ów brał pan Dziobak na głowę, ilekroć wychodził do ogrodu, choćby nie było ani chłodu, ani słońca. Po prostu przez poczucie przyzwoitości. Od pierwszego spojrzenia widziało się w nim coś lepszego.

Pan Dziobak był mimo to pełen prostoty i skromności wrodzonej. Zgadzał się bardzo ze wszystkim, co mówiła jego żona, która się do niego przywiązała, chociaż był trochę młodszy od niej. Miał bardzo dziwne oczy, duże i niby to niebieskie, ale właściwie prawie białe. I to podobno z tego, że robił przy ogniu w tej swojej fabryce. Sam mówił, że pewnie niedługo już oślepnie od tego ognia. A wtedy toby już zamieszkał przy żonie na wsi, na stałe.

Dla nas był bardzo uprzejmy. Nawet na żądanie pani Dziobakowej opowiedział nam pyszną anegdotkę o Żydzie, który przyszedł do pana dziedzica i mówiąc o interesie jednocześnie drapał się plecami o drzwi. Pan Dziobak owo drapanie naśladował wiernie, aż do złudzenia, i mówił „panie dzedzyc” tak dowcipnie, że sam powstrzymywał się od śmiechu tylko dlatego, żeby nie popsuć wrażenia. Za to pani Dziobakowa, chociaż znała już była przedtem treść opowieści i nic nie było tu dla niej nieoczekiwane, uśmieła się do woli. Właściwie i pan Dziobak śmiał się także, ale dopiero gdy już wszystko opowiedział. I śmiał się tak serdecznie, że z jego białych, wypalonych ogniem oczu lży łały się po prostu ciurkiem.

Z biegiem czasu stosunki stały się mniej etykietalne i prawie co niedziela pan Dziobak opowiadał nam swa anegdotę. Pamiętałyśmy ją dobrze i śmiałyśmy się głównie tylko przez uprzejmość. Bo widok pana Dziobaka w tym surducie i meloniku na odgiętych uszach, drapiącego się plecami o futrynę swej chałupki i ocierającego lży z policzków, robił doprawdy jakieś nie bardzo wesołe wrażenie.

Z dalszych wizyt i rozmów poznałyśmy wkrótce i brudy rodzinne. Cóż robić. Nie ma domu, w którym nie przydałoby się czegoś ukryć.

Z początku pani Dziobakowa opowiadała tylko, jak się chowały córki, pokazywała ich fotografie wizytowe i nawet jedną gabinetową. Córki pomagały jej w restauracji, ale roznosiły tylko pieczone, nigdy zupę. — No, rozumie się — powiedziałyśmy, aby nie myślała, że jesteśmy naiwne. Bo choć wiedziałyśmy, że naturalnie żadna praca nie hańbi, to przecież rozumiwałyśmy, że jest chyba jakaś różnica między roznoszeniem pieczonego a roznoszeniem zupy.

Córki więc roznosiły pieczone, później wychodziły za mąż, miały dzieci, umierały na suchoty. Zdarzało się, że zięciowie nie mieli za co ich pochować. I tak na jeden rok wypadło dwa wesela i trzy pogrzeby. To zjadło restaurację. Synowie umierali też. No, i został wreszcie tylko jeden, ten, który gra na skrzypcach. Dziewiąte i ostatnie dziecko.

Nie śmiałyśmy zapytać, czemu nie przyjeżdża. Ale pani Dziobakowa wyznała sama w chwili słabości: nie przyjeżdża, bo jest zły syn, bo wstydzi się rodziców. Dlatego, że ojciec jest rzemieślnikiem. A czy każdy może być restauratorem?

Wstydzi się. Już drugi rok, jak nie był ani razu. Nie żalowali na jego edukację, był w szkole, teraz jest na posadzie, Zarabia ładnie, więc naturalnie, cóż mu do rodziców.

A przecież przyjechał jednak. Przyjechał — pamiętamy to doskonale. Ale nie napełnił radością domu rodziców. Przyjechał dlatego, że był wieczorem z bardzo porządną jedną panienką w Alejach, siedzieli długo na ławce, więc dostał kaszlu. Cały miesiąc tak ciągle kaszlał i doktor kazał

mu pojechać na wieś. Wtedy dopiero przypomniał sobie rodziców.

Przyjechał w jedną sobotę wieczorem ze starszym panem Dziobakiem. Ale w ogrodzie nie robił, na spacer nie chodził, nawet ani razu nie zagrał na skrzypcach, choć przywiózł je ze sobą. Leżał w stancji na dużym, drewnianym łóżku matki, leżał i był chory. Nic mu nie było lepiej, tylko ciągle gorzej. Raz nawet przywieźli doktora ze Starej Wsi. Przywieźli też i księdza.

Aż raz Władysław przychodzi z wiadomością, że młody Dziobak umarł.

Ach, to było okropne! Nie mogliśmy się uspokoić, chociaż nawet nie znałyśmy go wcale. To pierwszy raz w obręb tego lasu weszła śmierć!

W taki słoneczny dzień patrzyłyśmy z daleka, sponad sosen, na mały domek Dziobaków w dole. Ten dach z czarnej tektury, malowany smołą, krył straszną tajemnicę. Tam leżał umarły człowiek.

Pan Dziobak poszedł do parafii i w ogródku było widać tylko panią Dziobakowa. Odkręcała kury, powiązane za nogi do kołków. Później wrywała zielsko z truskawek. Czasami wchodziła też do wnętrza tego domu i przez chwilę jej nie było. Patrzyłyśmy na to pełne grozy.

Pani Dziobakowa często opowiadała nam potem o chwilach ostatnich syna. „Umierasz, synku — mówię — umierasz, jak tamci pomarli. — A on nic. — Umierasz — powiadam i jak nie krzyknę, jak go nie chwyć!... A on już tylko tyle, że się trochę skrzywił i zaraz mu oczy w siup stanęły”. — Wiele razy słyszałyśmy te proste i wzruszające słowa.

Tymczasem chudy Trezor wyrósł na psa złego, jak szatan. Kot był wciąż tej samej wielkości i pałędał się tu i ówdzie, pomiaukując. Kurczęta urosły i rozmnożyły się bardzo. Ciągłe jakaś nowa kura chciała siedzieć, ale pani Dziobakowa miała już tego dosyć, wołała, żeby się niosły. Więc taką kurę zawsze łapała i wsadzała na chwilę do wiadra z wodą. Był przy tym straszny wrzask i pierze leciało, jakby się rozpruła wysypka na poduszce. Ale za to potem już taka kura nie chciała siedzieć.

Z tych zwierząt jedna tylko świnia naprawdę utyla i właśnie przydała się, bo „poszła na pogrzeb”, jak powiedziała pani Dziobakowa. „Jeszcze jeden pogrzeb — ale już przecież ostatni”.

Wcale nie ostatni.

Jakoś to było pod jesień, gdy gruchnęła wiadomość, że pan Dziobak rzuca posadę i zamieszkuje przy żonie. Doszedł do wniosku, że miejsce w fabryce źle oddziaływa na jego zdrowie i postanowił przenieść się na wieś.

Już jak przyjechał, niewiele co mógł się ruszać i pani Dziobakowa nieraz się musiała nairytować, zanim jej się udało zapędzić go do jakiej roboty. Puchł tylko wciąż, ale w sobie nic go nie bolało. Puchł jednak bardzo, jeszcze przy pierwszych śniegach musiał chodzić boso, bo żadnego buta na nogę nie mógł wciągnąć. Jego dawny niefrasobliwy humor wracał jednak czasami — i nie raz, i nie dwa razy przyszło nam jeszcze wysłuchać anegdoty o przezabawnym Żydzie, który, rozmawiając z dziadkiem, jednocześnie drapał się plecami o futrynę. Oczy Dziobaka były zawsze wypłowiałe, chociaż już od dosyć dawna nie robił przy ogniu, były prawie zupełnie białe. I kiedy anegdota była już skończona, zawsze ciurkiem leciały z nich Izzy.

Ponieważ wybiegł boso na mróz, więc się przeziębził i spuchł jeszcze więcej. Wreszcie był już tak spuchnięty, że nie mógł wcale wstać z łóżka — tego samego, w którym umarł jego syn. Leżał tak może z miesiąc, może i więcej, a pani Dziobakowa po prostu obrobić się nie mogła, tyle jej spadło na głowę. Kopała sama wszystkie kartofle, które sama wszystkie sadziła na wiosnę. Okopywała drzewa, grabiła kolki, zbierała, a nawet rąbała gałęzie na zimę — nie licząc wcale roboty w domu.

Jakoś to było przede święty, jak Dziobak umarł. Całe szczęście, że jeszcze zdążył zrobić testament. Od samego rana panią Dziobakowa coś tknęło, że to dziś. Dosyć się w życiu swoim śmierci napatrzyła. Sprowadziła zaraz dwóch poważnych sąsiadów. Jeden spisał na dużym arkuszu papieru ostatnią wolę umierającego. Po nieboszczce córce chowało się gdzieś na świecie Dziobakom dwoje wnucząt. Ale że zięć powtórnie się ożenił, był bogaty i tylko mu chyba ptasiego mleka nie dostawało, więc się pani Dziobakowa bała, że niech tylko mąż umrze, to zaraz wszystko rozdrapią.

Pan Dziobak się trochę opierał, że to nie ma pośpiechu, że można jeszcze jutro przy sobocie, że naprzód wołałby księdza — ale go żona i sąsiedzi jakoś tam przekonali. Płakał, jak małe dziecko, ale przecie podpisał.

Później, gdy się wypowiadał, zaraz mu ulżyło. Leżał spokojnie, z zamkniętymi oczami i nic nie mówił. A na wieczór przed tą sobotą — o, jakby dziś — zaczęło się konanie. Pani Dziobakowa opowiadała nam szczegóły i przebieg tuj smutnej sceny. Było to dosyć podobnie, jak z synem.

Tak tedy był jeszcze jeden pogrzeb. Ale pani Dziobakowa nic miała co sprzedać, aby męża pochować porządnie. Nowa świnia była jeszcze mało. Toteż pogrzeb odbył się bardzo skromnie i po cichu.

Teraz pani Dziobakowa została w swoim domku zupełnie sama. Ale nie odczuwała osamotnienia tak znowu bardzo, bo właściwie przecież od dawna do niego przywykła. Co najwyżej chyba w niedzielę mogło jej być trochę markotno, nie okazywała tego jednak i nigdy o tym nie mówiła.

I dawniej zwykle pani Dziobakowa przez wzgląd na drogą naftę wcześniej gasiła światło. Zimą zwykle już o ósmej kładła się spać. Tej zimy zaś światło w jej małym okienku gasło często już o szóstej. I pośród śniegiem nakrytego lasu, sam śniegiem nakryty, w białe krzaki wtulony domek Dziobaków wcale od nas z góry nie był widoczny.

Z nastaniem wiosny zaczęła się zwykła robota. Pani Dziobakowa od świtu była w ogródku. Kopała, gnoiła, sadiła. W niedzielę po południu siadywała spokojnie na werandzie i samotnie poglądała na wyniki pracy tygodnia. Ogród kipiał kwiatami. W wilgotnym bagienku, po wykarczowaniu sosen, bez, jaśmin, akacje, jarzębiny rosły bujnie, krzewiły się szeroko i bez pamięci. Na klombach wypukłych i podłuższych, odarniowanych wokoło jak groby, kwitnęły obficie nasturcje, lwie pyszczki, królewskie korony, floksy, aksamitki, goździki, astry, pośrodku wznosiły się wielkie czerwone georginie. Aromat tych kwiatów czuło się z daleka, w lesie i na drodze. Trezor był, nigdy nie spuszczały z łańcucha, kot snuł się smętnie — czarny, powiewny i fantasmagoryczny. Tego roku pani Dziobakowa wielu kurom pozwoliła siedzieć — i z tego

wynikło nieprzeliczone mnóstwo małych kurczaków, piszczących i po dawnemu dręczących swoje matki, uwiązane za nogę do pni sosnowych. Gospodarstwo kwitło, nie czując braku ręki pańskiej. Bo pani Dziobakowa wszystkiemu dała radę i żadnej roboty się nie bała.

Te zalety nie uszły uwagi okolicy. Bo można sobie mówić, co kto chce, ale prawdziwa zasługa zawsze znajdzie u ludzi uznanie. Toteż pani Dziobakowa, pomimo swych lat pięćdziesięciu ukończonych, obudziła zamiary poważne w niejednym epuzerze.

Zrazu projekty takie odtrącała ze wstydliwą niechęcią, ze słuszną indygnacją osoby, znającej sobie cenę. Nikt nie powinien był sobie wyobrazić, że pani Dziobakowa jest pierwsza lepsza i pójdzie za byle kogo.

Z owych starających się o jednym muszę powiedzieć obszerniej, mianowicie o Wile.

Wiła był kaleką. Widywałyśmy go od dzieciństwa — jeszcze przedtem, zanim Dziobakowie sprowadzili się w nasze strony.

Obie nogi miał skrzywione i prawie bezwładne. Chodził o jednym kiju, na którym wspierał się oburącz i jakimś przebiegłym wysiłkiem całego ciała przerzucał naprzód. Każdy jego krok był niejako sportowym „skokiem o tyczce”.

Ale twarz miał przyjemną, był blady i dosyć delikatny. Oczy patrzyły smutnie, choć były nieduże, a usta miały uśmiech miły.

Od niepamiętnych czasów Wiła pasał konie gdzieś w pobliżu naszej granicy. Ale nie był znów żadnym tam pastuchem, tylko synem bogatej osadniczki, której grunty przylegały do naszego lasu. Idąc spacerem do olszyny częstośmy go widziały, leżącego pod krzakiem przy drodze, na grobli wysadzonej też olszynami i nazywającej się w tej okolicy trytwą.

Nie od razu odważyłyśmy się do niego przemówić. Jego cały los, jego niezasłużone nieszczęście przejmowało nas obawą i szacunkiem. Widząc, że patrzy w niebo swymi smutnymi oczami, przypuszczałyśmy, że marzy. Czuliśmy się zawstydzone sprawnością naszych nóg. I na przykład nigdy nie bawiliśmy się w konie, jeżeli on nas mógł widzieć. Staraliśmy się raczej iść powoli i nawet trochę niepewnie, aby nie być tymi szczęśliwszymi, tymi uprzywilejowanymi.

Pilnowanie koni nie stanowiło dla Wiły kłopotu mimo jego kalectwa. Naprzód, że były to wszystkiego dwa konie — nieduże, chude, o garbatych nosach i obwisłych dolnych wargach. Miały zgięte kolana ze zmęczenia, więc pewnie były rade, że mogą spokojnie jeść — i wcale im do głowy nie przychodziło uciekać. Zresztą choćby” nawet i miały na to ochotę, toby im się i tak nie udało, bo ich przednie nogi były związane ze sobą postronkiem, a morda jeszcze prócz tego była też przywiązana do jednej nogi. Więc nawet nie mogły chodzić, tylko sobie w rowie koło trytwy podskakiwały.

Wahałyśmy się dosyć długo, czy zabrać z Wiłą znajomość, czy sprawa ta — o ile się wyda — nie zamąci harmonii naszych bardzo dobrych rodzinnych stosunków. Byłyśmy w tym wypadku znacznie ostrożniejsze, niż w znajomości z domem państwa Dziobaków. Ale sympatia dla nieszczęśliwego pastucha wzrastała, wzrastało zainteresowanie dla jego samotnego losu, jego marzącej duszy. Myślałyśmy sobie, co by to było, gdyby Wiła mógł się uczyć, wykazał znaczne zdolności, zadziwił wszystkich, zyskał sławę — i mógł przez to zapomnieć o niedostępnych radościach życia.

Niestety, świat jest już tak pomyślany, że wszystkie marzenia młodości spotykają się z rozczarowaniem. Toteż i pierwsza rozmowa z Wiłą sprawiła nam zawód bolesny.

— Czy kopie ten dereszowaty? — zagadnęłam raz od niechcienia, niby to interesując się sposobem bycia jednego z koni.

— Ja ta wim? — odparł Wiła bez uprzejmości pytaniem na pytanie. — Nie podchodzić do konia, to i nie kopnie.

Tę Wiły niechęć pozorną przypisałam ogólnemu zniechęceniu do świata, zrozumiałej goryczy, którą napełniła go jego niedola. Toteż mimo przykrości nic dałam za wygraną.

— A te konie was lubią?

— Można się ich samych zapytać. Może powiom...

No tak, dialog się nie kleił, to było oczywiste. Rozumiałam jednak, że nie trzeba się tak zaraz byle czym zrażać i pożegnałam Wiłę grzecznie, obiecując sobie za drugim razem jakoś subtelniej przystąpić do tej obolałej duszy.

Ale za drugim razem nie lepiej mi się powiodło. A nawet gorzej. Wiła był wprawdzie skorszy do rozmowy i mniej oziębły, ale za to powiedział nam taki jakiś nieprzyzwoity dowcip, że musiałyśmy się zdecydować na zerwanie, a przynajmniej znaczne ochłodzenie tych stosunków. Towarzystwo jego naprawdę nie było dla nas dosyć odpowiednie.

Odtąd na losy Wiły poglądałyśmy już z dala. Widziałyśmy go często, kicającego swym zadziwiającym sposobem po drodze lub pasącego konie. Potem zniknął nam z oczu. Władysław powiedział kiedyś mimochodem, że matka zawiozła Wiłę do Warszawy, do terminu.

— Do jakiego terminu? — zapytałyśmy z niepokojem.

— Do szewca.

— Oo!

Więc Wiła będzie szewcem. Mój Boże! Chociaż ma gruntu dosyć, ma matkę bogatą. Tylko dlatego, że jest kaleką. Zapomniałam mu w tej chwili wszystko złe.

Nie o takiej ja przyszłości dla niego marzyłam!

Minęło może dwa lata i Wiła przyjechał z Warszawy, z terminu, już jako szewc. Matka przyprowadziła go do nas, aby polecić syna naszej życzliwej pamięci, gdyby szło o jakie zelówki czy fleki. Owszem, przyrzekliśmy najchętniej, jeżeli tylko coś się zdarzy. I w ten sposób stosunki się naprawiły, porozumienie nastąpiło.

Porozumienie! — czyż można mówić o porozumieniu!

Wiła zmienił się w mieście do niepoznania. Przeszedł ospę — i jego delikatna twarz zrobiła się chropowata, nos był czerwony, oczy bez brwi i jakby cokolwiek zapuchłe.

Ponadto Wiła stał się pokorny, jakiś niepewny siebie, nie patrzący w oczy, uśmiechnięty skwapliwie i sztucznie. Nie chcę być przesadna, ale muszę to powiedzieć, że wołałam go, gdy był nieuprzejmy i mówił nieprzyzwoite żarty. Jego złe maniery więcej budziły szacunku niż teraz jego układność i pokora.

Władysław, który wiedział wszystko, i to też umiał nam wyjaśnić: Wiła rozpił się w Warszawie. Przebywał w najgorszych kompaniach i tak się zepsuł, że raz nawet chciał sobie zrobić coś złego. Więc matka zabrała go na wieś, kupiła mu warsztat i będzie go pilnowała albo go ożeni.

Nie upilnowała jednak i tajemnica stała się publiczna. Każdemu już było wiadomo, że Wiła, pokraka, jest ponadto próżniak i pijak, że się sam czymś skaleczył i dopiero go odratowali. Każdemu zdarzało się widzieć go powracającego po pijanemu z miasteczka albo po prostu śpiącego w krzakach nad drogą. Prześmiewali się z niego bez litości i mało kto mu dawał buty do roboty.

Przyszywał co najwyżej łąty na zdartych przyszwach albo nabijał fleki na obcasy. Rzadko zdarzała się porządna zelówka.

Matka łamała nad nim ręce, przeklinała chwilę, w której ta pokraka na świat przyszła.

O tym czasie zjawiała się w tych stronach Weronka. Była ogromnie robotna i niczego nie ruszyła, ale miała piegi, nos jak kartofel, usta grube, zawsze otwarte, i niewiele czarnych zębów. Krótko mówiąc, była brzydka. Ale za to honorna, pracowita, sumienna. Czy w ogrodzie, czy w kuchni, czy w pokoju — wszędzie się przydała. Pod względem moralnego prowadzenia też nic jej nie można było zarzucić. Nie wystawała pod płótem z chłopakami i nikt się do niej nie zalecał.

Ta to Weronka wpadła pokrace w oko. Często zaczął teraz do niej zachodzić rozpytując, czy nie ma dla niego jakiej roboty. Raz nawet zrobił dla Weronki zelówkę zupełnie darmo. I wreszcie oświadczył się o jej rękę. Ale Weronka zaraz mu odpowiedziała, że za pokrakę i pijaka zawsze jeszcze będzie miała czas pójść.

Tak stały rzeczy, kiedy owdowiała pani Dziobakowa. Matka Wiły miała na wszystko oko i zaraz sobie coś umyśliła. Przechodząc drogą, raz czy dwa razy zatrzymała się przed ogródkiem pani Dziobakowej i jak najpochlebniej wyrażała się o kwiatach i całym gospodarstwie. Napomknęła też od niechcenia, że drugi jej mąż dosyć już ma w domu tych dzieci jej po pierwszym mężu. Córki wprawdzie oprócz Emilki poszły dawniej za mąż, ale też chcą już działów po ojcu — i trzeba się będzie zgodzić oddzielić grunty i gospodarować na mniejszym, ale na swoim.

— Te morgi nad samą granicą akurat przychodzą na szewca — zakończyła taktownie.

Miała na myśli sąsiadujący z nami, chudy pagórek, zarosły wyżej sosnami, niżej pokryty wątlm żytem, które, gdy świecił księżyc, wydawało się zawsze z góry jak biała woda.

Następnie przyszedł sam Wiła z miną pokorną i odniósł stare buty Dziobakowej, do których dodał kapki. Naprzód nie chciał wziąć zapłaty, ale w końcu wziął i zaraz pokicał na kiju do miasteczka, by otrzymane pieniądze przepić.

Pani Dziobakowa przyjmowała wszystkie te objawy z zupełną równowagą umysłu. Wrodzone poczucie godności własnej nie pozwoliło jej nawet okazać, że domyśla się, o co idzie.

Ale wreszcie zjawilo się dwóch poważnych gospodarzy, z których jeden wujo konkurenta, i poprosili o rękę pani Dziobakowej dla szewca Wiły. Przekładali, że gruntu kawał od matki dostanie, że na robocie swojej się rozumie, a jak mądrą żonę będzie miał, to się ustakuje.

Pani Dziobakowa dała odpowiedź odmowną, a jak ją zanadto zaczęli namawiać, to ich nawet musiała wyrzucić za drzwi.

Opowiedziała nam potem szczegółowo tę scenę. I uznałyśmy, że pani Dziobakowa nie mogła lepiej postąpić. Późniejsze, niezwykle losy Wiły dowiodły jasno, że i w tej sytuacji, jak w każdej innej, wykazała pani Dziobakowa dar przewidywania i właściwy sobie rozum życiowy.

Jakoś już o tym wszystkim przycichło, kiedy nagle gruchnęła wiadomość, że pani Dziobakowa dostaje męża aż zza Warszawy. Nikomu nie było wiadomo, jak się nazywa. Mówili tylko, że to wdowiec, ale bezdzietny, że ma krowę i kawałek gruntu i że jest cieślą.

Sensacja była wielka. Co się kto z kim spotkał, to tylko o tym małżeństwie mówili.

Jednego wieczora szliśmy z pociągu, który przychodził po dziesiątej. Las był cichy, jesienny, omglony, niebo bez chmur widzialnych i bez gwiazd, wysłane mgłą. Miękkie błoto lgnęło do nóg, przelewało się, chlupało cicho w ciemnościach. Byłyśmy zmęczone i senne. Nagle uderzyło nas wszystkich coś nieoczekiwanego.

— Nie, doprawdy! Co to?

— Rzeczywiście, patrzcie no tylko: świeci się u pani Dziobakowej.

— Niemożliwe. Przecież to blisko jedenasta.

Pani Dziobakowa, zazwyczaj »śpiąca już o siódmej, czuwała istotnie. Co się mogło stać, nikt nie rozumiał.

Nagle wszystko się wyjaśniło. Boże, jak to się czasem zapomni! Przecież to jutro ślub pani Dziobakowej. A dziś ma przyjechać nowy jej mąż z rzeczami, z narzędziami i warsztatem, podobno nawet z krową.

Właśnie mijaliśmy mały domek Dziobaków. Naturalnie, że też mi to od razu nie przyszło do głowy. W obu oknach było światło, U oszklonych drzwi wiodących na werandę stała ciemna figura pani Dziobakowej, oczekującej przyjeźdnego.

Ktoś z obecnych wziął tę sytuację od strony komicznej i powiedział, że pani Dziobakowa jest Julią, wyglądającą swego Romea. Nic nie odrzekłam, ale uważałam żart ten za niewłaściwy. Przywykłam bowiem szanować panią Dziobakowa, a jej zachowanie uważałam zawsze za pełne godności i taktu.

Nowy pan Dziobak istotnie przyjechał i ślub odbył się w czasie oznaczonym w najbliższej parafii.

Zrazu, powodowane wrodzoną dyskrecją, nie odwiedzałyśmy pani Dziobakowej. Prawdę mówiąc, krępowało nas trochę, że oto ktoś zupełnie nowy i nieznanany wszedł do tego tak nam bliskiego domu. Nie znaczy to, abyśmy żywiły doń jakąś niechęć, jakieś powzięte z góry uprzedzenie. Broń Boże. Myślałyśmy tylko: któż wie, co to za człowiek i jakim okiem będzie patrzył na przyjaźń, łączącą nas z jego żoną.

Raz tyJko — z daleka — zobaczyłyśmy czarną, męską sylwetkę w pobliżu domku Dziobaków. Mężczyzna ów poprawiał coś około psiej budy i po chwili słychać było żaloszny skowyt Trezora. Domyśliłyśmy się od razu nowego pana.

Nie znając go osobiście, mówiłyśmy jednak o nim często. I — rzecz szczególna — przyjęło się jakoś samo, żeśmy go nazwały Dziobakiem. Naprzód półżartem, a potem już na serio.

Jakże mogło być inaczej? W owym czasie nie było już w tych stronach Władysława, dla którego świat nie miał tajemnic. Ale Józef Kwiecień, chłopak dobry i nawet co prawda sprytny, choć tylko wtedy, kiedy nie było potrzeba, też znał sąsiadów. Zapytałyśmy go, czy nie wie, jakie nosi nazwisko mąż pani Dziobakowej. Józef wyznał nam szczerze, że nie wie. Owszem — tak, jakby je gdzieś słyszał, ale dobrze nie zapamiętał. Później — już, już miał je na końcu języka — i na tym się skończyło. Ostatecznie, niczegośmy się nie dowiedziały.

I tak zostało. Kiedyś Weronka powiada, że Dziobak dostał teraz robotę w miasteczku, że co dzień rano wychodzi i wraca dopiero na noc. Dziobak! Jaki znowu Dziobak? A Weronka się

śmieje, zakrywa ręką czarne, mokre zęby i powiada, że niby ten mąż Dziobakowej, kto go wie, jak mu tam.

Skorzystałyśmy z informacji Weronki i odwiedziłyśmy naszą przyjaciółkę pod nieobecność męża. Dzień był słoneczny i pani Dziobakowa, że to trochę podeszło, dawnym swym jesiennym obyczajem grabiła kolki. Podrosłe i bardzo mnogie kurczaki grzebały przed domem, kot stał, miaucząc, u drzwi werandy. Trezor poszczekiwał skowytliwie. Nie zmieniło się nic.

Z wrodzonym sobie taktem pani Dziobakowa nie wdawała się w żadne szczegóły bardziej osobiste. Powiedziała, że mąż jej ma robotę ciesielską w miasteczku, bo się buduje rzeźnik. To było wszystko. Dodała jeszcze tylko, że krowy nie przywiózł, bo ją sprzedał tam na miejscu razem z gruntem. Jak się będzie chciało, to zawsze jeszcze można krowę kupić.

— Pewnie! — odparłyśmy z przekonaniem, ufając jej mądrości życiowej.

Nie wiedziałyśmy, czy wypada nam zapytać, jakie jest jej obecne nazwisko. Skoro nie powiadomiła nas o tym sama, widocznie nie uważała tego za konieczne.

Ale i nikt w okolicy nie mógł nas objaśnić. Jeden słyszał i zapomniał, inny nie słyszał i nie interesował się tym wcale. Wszyscy nazywali go z początku: ten Dziobak, a później po prostu: Dziobak — i już.

Nowego pana Dziobaka poznałyśmy jednak. Było to jakoś w niedzielę. Szło o to, czy nie podjąłby się zbić drzwi kuchennych, które się rozlatują i nawet jedna deska zupełnie wypadła. Okazał nam duże zainteresowanie i zaraz zapytał, czy drzwi są filongowe. Były filongowe. Porozumienie bardzo szybko nastąpiło.

Pan Dziobak był bardziej młodszy od swej żony niż jej poprzedni mąż. Mógł mieć lat przeszło czterdzieści, ale wyglądał starzej, bo był jakiś nie wysoki i bardzo zgarbiony, prawie złamany we dwoje. Mimo posępnego wyglądu posiadał dużo humoru — tylko w zupełnie odmiennym gatunku niż jego poprzednik. Dowcip nowego Dziobaka był zjadliwy, był pełen drwiny, a skryty powagą. Nie opowiadał anegdotek, rzadko głos zabierał, ale do wszystkiego, o czym mówił, odnosił się sceptycznie, niedowierzająco i złośliwie. Czy to szło o hebel, który znajdował się w naszym gospodarstwie, czy o drzewo w filongach, czy wreszcie o chorobę żony.

Bo pani Dziobakowa zaczęła chorować. Niedługo po Bożym Narodzeniu zaczęło ją kłuć w piersiach. Przy robocie chwytały ją czasami duszności, nie mogła prędko chodzić, nie mogła dźwigać. Od tego klucia w piersiach dostała kaszlu, który jej mało nie rozerwał. Raz Józef nam doniósł, że pani Dziobakowa już drugi tydzień jak leży.

Postanowiłyśmy ją odwiedzić i jednego popołudnia z pewną nieśmiałością przestąpiłyśmy progi domku.

Pani Dziobakowa powitała nas bladym uśmiechem. Leżała w tym samym zawsze, rodzinnym łóżku drewnianym, pod śnieżną pierzyną, w pościeli niepokalanej naprawdę czystości. Taką samą czystością olśniewał jej biały kaftan i biała na głowie chusteczka.

I pokój nie nosił wcale śladów nieporządku, pomimo obłożnej choroby pani domu. Pod oknem na specjalnym stoliku stało, jak zawsze, mnóstwo doniczek z kwiatami i w pokoju było aż ciemno od tej gęstej zieleni. Stół pośrodku nakryty był nicianą serwetą szydełkową, całą w gwiazdki czerwone i piaskowe, na nim stała wysoka lampa salonowa z błękitnym rezerwuarem w kwiaty. Komoda z lustrem i fotografiami w ramach robiła też bardzo korzystne wrażenie.

Pani Dziobakowa słabym głosem opowiadała nam przebieg choroby. Skarżyła się na duszność, zwłaszcza w nocy, na brak apetytu i ściskanie w dołku. Męczyła się okropnie i miała przeczucie, że już z tego nie wyjdzie.

Dziobak chodził po izbie zgięty we dwoje i małowówny. Tylko od czasu do czasu wtrącał do naszej rozmowy jakąś sceptyczną uwagę. Raz powiedział, że jego żonie nic nie będzie, najwyżej umrze. To znów, że on ma już dosyć choroby w domu, więc niech pani Dziobakowa albo umiera, albo niech wstaje i bierze się do roboty. Oczywiście to wszystko powiedziane było dla żartu. Ale pan Dziobak miał taki trochę niemiły, zupełnie poważny sposób żartowania, który mógł się wydać jego żonie zawierającym trochę prawdy. Złej intencji w tym nie było, ale miało się wrażenie pewnego zniecierpliwienia i niedelikatności.

Wbrew złym przeczuciom pani Dziobakowa wyzdrowiała. Zaczęła wstawać, wychodzić, nawet doglądać gospodarstwa. Ale nie była to już pani Dziobakowa dawna. Pochyliła się, posiwiła, straciła poprzedni spokój i pewność siebie. Była roztargniona, płosząca się i mieszkająca byle czym.

Mąż chodził do miasteczka, ona pracowała w domu. Ale taka też to i była robota. Dopiero na wiosnę czekała ją prawdziwa praca. Pani Dziobakowa miała przeczucie, że jej nie podoła.

I rzeczywiście. Przed Wielkanocą, jak tylko spłynęły śniegi, pani Dziobakowa wzięła się za szpadel. Ale źle zrobiła.

Jak przyszła do domu i położyła się, tak już nie wstała,

Nie będę opisywała naszych uczuć przerażenia i smutku, gdy spadła na nas ta wieść okropna. Kto nie rozumie, jakie miejsce w życiu naszym zajmowała ta niezwykczajna kobieta, ten nie pojmie straty, jakąśmy poniosły. Wydawało nam się czymś niemożliwym, że oto już nigdy nie zastaniemy jej tam, pracującej przed domem w swym ogródku, że nie podzielimy się z nią naszymi radościami i smutkami, że nie zasięgniemy jej rady w sprawach, które tak trafnie ujmowała jej mądrość życiowa i doświadczenie.

Ale stało się — i nikt nie jest mocen odwrócić wyroków losu. Pogodziłyśmy się więc z tym, jak ze wszystkim w życiu. Ale długo, długo nie mogłyśmy bez smutku patrzeć na ten mały domek Dziobaków, w którym tyle z niej pozostało, na wypukłe i okragłe klomby ogródka, na zwierzęta, które przeżyły swą panią i nawet nie zauważyły jej braku.

W dniu śmierci pani Dziobakowej, dosyć późnym wieczorem, zastukał do naszych drzwi pan Dziobak.

Wyszłyśmy doń zalęknione, całe jeszcze pod wrażeniem smutnej wieści, gotowe do każdej sąsiedzkiej przysługi przez wzgląd na drogą nam pamięć zmarłej. O tym czasie Józef już był żonaty z Weronką i mieszkali osobno, a miejsce Józefa zajął niejaki Pazio, chłop duży, nierozgarnięty, a nawet zupełnie pogłupawy. O tego to Pazia właśnie chodziło panu Dziobakowi. Miał zostać zupełnie sam na noc z ciałem, w pustym domu, więc zawsze było mu trochę nieprzyjemnie. Przecież — jak by nie było — zawsze: ciało. A odejść i zostawić ciała w domu tak samo nie mógł, bo zaraz się zwiedzą i okradną. Przyszedł więc zapytać się, czy Pazio nie mógłby u niego przenocować. Pazio oczywiście nic nie miał przeciwko temu.

Odbył się skromny pogrzeb i panią Dziobakowa pochowano niedaleko jej pierwszego męża. A Dziobak sam został na gospodarstwie. Przestał chodzić do roboty, kopał szpadlem w ogrodzie, karmił kury, gotował sobie jedzenie. Wciąż było widać jego schyloną postać, dreptającą wkoło gospodarstwa.

Ale pan Dziobak czuł, że to zajęcie nie dla niego. I gospodarstwo szło lada jako, i zarobku nie było. Pan Dziobak zaczął coraz bardziej poosepnąć i zniechęcać się do wszystkiego.

Nie przeszło czterech tygodni, kiedy zaczęto przebąkiwać, że Dziobak szuka żony, że sobie już coś upatrzył w miasteczku. Nie chcieliśmy dawać wiary tym pogłoskom. O, jakże nic trwałego nie ma na ziemi, jakże człowiek nie umie uszanować nawet wspomnienia!

Ale pogłoski nie milkły, przeciwnie, precyzowały się coraz bardziej. Mówiono już, że chodzi o jedną starą pannę z miasteczka, która trochę jest krzywa i nawet głucha, ale się Dziobakowi spodobała. Mówili, mówili, aż pogłoska stała się faktem. W dwa miesiące i tydzień po śmierci pani Dziobakowej pan Dziobak wprowadził nową żonę pod swój dach.

Nie mogliśmy się po prostu z tym pogodzić. Jak to: pod ten dach, do tego domu, który tyle tamtej zawdzięcza, do tego samego pokoju, w którym duch tamtej czuwający jeszcze się unosi, jeszcze żyje!

Nie chcieliśmy się wcale zbliżać do domku Dziobaków, z którym tyle wspomnień nas wiązało. Nie chcieliśmy poznawać ani nawet widzieć tej kobiety, która tak szybko zajęła miejsce tamtej.

Z dala jednak patrząc, nie mogliśmy nie zauważyć jej, tej nowej, jak pod nieobecność Dziobaka krzątała się około gospodarstwa. Była młodsza znacznie od swego męża, ale rzeczywiście nie miała ładnej linii bioder i trochę jakby na jedną nogę utykała.

Weronka, żona Józefa, twierdziła o niej, że jest dobra gospodyni, nie gorsza od nieboszczki. I rzeczywiście. Chociaż ślub odbył się już dobrze na wiosnę, nowa żona Dziobaka zdążyła i kur parę nasadzić, i zasiać mnóstwo kwiatów, i wszystko koło domu obrządzić. Nie można nie przyznać czegoś, co jest oczywiste. A przecież ciężko nam było przywyknąć do myśli, że miejsce po zmarłej zostało tak całkowicie, tak zupełnie zajęte.

I oto siedzimy sobie już latem w ogrodzie, gdy zjawia się Magda, siostra Józefa, i na cały głos powiada:

- Przyszła ta Dziobakowa i pyta się, czy nie potrzeba jajek.
- Co za Dziobakowa? — oburzyliśmy się. — Jaka znowu Dziobakowa?
- Ano, żona tego Dziobaka z dołu.

Okazało się, że nikt inaczej nie nazywa nowej żony Dziobaka tylko: Dziobakowa.

Cóż robić. Jajka były potrzebne, należało, chcąc nie chcąc, zapoznać się z tą nową Dziobakową. Musiałyśmy przyznać, że jest to kobiecina niezła, dobroduszna i cicha. Nie miała ona jednak w sobie nic z tego, co takim szacunkiem zdejmowało nas w jej poprzedniczce. Na każdym kroku czuło się, że to nie to samo.

I życie płynąć zaczęło, jak dawniej. Domek Dziobaków stał sobie dalej, w ogródku kwiaty bujnie rosły i pachniały na wiorstę wokoło, kury, uwiązane za nogę, leżały, wyciągając smutnie dziób za kurczętami, jakiś nowy, chudy kot pałętał się koło werandy, pies poszczekiwał skowytliwie.

Tyle tylko się zmieniło, że gospodarze tego domku byli teraz — młodszy.

A ludzie, jak to ludzie, śmiali się, że jak teraz Dziobak umrze z kolei, to jego młoda żona weźmie sobie drugiego męża, który znowu będzie się nazywał Dziobak!

Wspomniałam już o Magdzie, siostrze Józefa. Ale znaleźliśmy i ją, i całą rodzinę Kwietniów znacznie dawniej, można powiedzieć, że też od samego początku, od czasów, kiedy to stary Kwiecień był za stróża na torfowisku. Mieszkali wtenczas w tej zadziwiającej chałupce, zrobionej z gałęzi i błota. Całe szczęście, że dach kryty był papą — inaczej cała buda byłaby się zaraz pierwszej jesieni rozplynęła. A tak to wysterczała sobie przez parę lat cokolwiek ponad bagnisko i bardzo malowniczo a tajemnie odbijała się w dużym, granatowym stawie o brzegach czarnych.

Sama izba znajdowała się tak więcej już jakby w ziemi. Schodziło się tam po schodkach jakoś bardzo przemyślnie z niesuszonego torfu ulepionych. Okna, całe gotowe, skądś już razem z szybami przyniesione, doskonale pasowały do dziury w gałęziach i tkwiły tam bez żadnych zawiasów ani haczyków, jak wrośnięte. W środku stała zbudowana z cegieł kuchnia, a komin wyprowadzony był górą przez dach, niby w prawdziwej chałupie.

I bardzo im się tam wszystkim dobrze mieszało. Wszyscy — to znaczy: stary Kwiecień, chłop jeszcze młody, tęgi i ospały, wielki wałkoń i przy tym tyran domowy, Kwietniowa, mała, wyschła i zgrzybiała, jak chuchro, a silna i robotna jak koń, dwa większe chłopaki, które chodziły do sznajdra kręcić torf, i dwie małe Kwietnianki: Magda i Irenka.

Irenka — istne królewiątko, urocze i zadumane — czuwała z brzozową gałązką nad trzema gęsiami na chudym pastwisku torfowym, a Magda, starsza — pomiotło i oberwaniec, dźwigała przez mokre łąki drzewo z lasu, latała do kopania albo robiła koło domu. Irenka cała w ojca, Magda — w matkę.

Chowały się tak dosyć dziko na tej pustce. Zimą przez śnieg trudno się tam nieraz było przekopać, odwilże i flagi rozmywały bagno, a woda stawów wylewała się poza brzegi.

Latem kępy mchów, olszyn karłowatych, łochiń, wrzosów — wszystko jakoś fantastycznie, pochmurnie złote, malachitowe i fiołkowe, wyrastało z czarnego torfu nad czarną wodą. Wszędzie naokoło bujała najśliczniejsza młoda brzezina. W głębi, prosto jakby z wody, wznosił się sosnowy, stary, ciemny bór. W największe słońce patrzyło się tam na świat, jak przez szkło zakopcone.

Kwiecień prędko przestał chodzić do sznajdra, bo mówił, że takiej brudnej roboty nie lubi. Za to Kwietniowa w lato i zimę biegała po praniach, najmowała się do kopania i sadzenia i zawsze do domu pieniądz przyniosła.

Później już Kwietnie przenieśli się do wsi, naprzód na komorne, a potem dopożyczyli pięćdziesiąt rubli i wystawili sobie sami porządną izbę drewnianą. Mieli już teraz swój kąt, ale splaty duże. Więc wszystkie dzieci — oprócz Irenki — poszły na służbę.

I tak losy nasze przeplatać się zaczęły z losami Kwietniów. Na przykład Józef służył w naszych stronach przez osiem lat i nawet ożenił się z Weronką. A potem, właśnie kiedy już Józefostwo poszli na swoje, przeniosła się na ich miejsce Magda. Ale co innego miała w głowie i służąca z niej była nieświatna.

Magda, ku wielkiemu zmartwieniu starej, — poczciwej Kwietniowej, wyrosła niestety na dziewczynę niemoralną, a ponadto wyjątkowo nieładnej powierzchowności. Miała krótkie, krzywe nogi i długi stan, dużą głowę jajowatą na cienkiej szyi, a do tego wcześniej straciła kilka zębów z przodu. Myśląc o jej ubolewaniu godnych błędach, mniej zwykle dziwiłam się lekkomyślności Magdy, uderzało mnie raczej zaślepienie tych, co się opręć pokusie nie umieli.

Magda jako siedemnastoletnia dziewczyna miała pierwszego chłopaka i nazwała imię jego Tytus. Chodziła wtedy do fabryki układać cegłę, a że od małego była taka niezgrabna, więc się nawet rodzona matka do ostatniej chwili niczego jakoś po niej nie domyśliła. Magda powiła swoje

dziecko cichaczem w kącie izby, gdzie zawsze na ziemi spała, i dopiero jego pierwszy krzyk nad ranem wydał światu Magdy miłosną tajemnicę. Stary Kwiecień zaraz chciał córkę zabić żelazkiem od prasowania, ale tylko sprzął postronkiem Kwietniową za to, że zamknęła przed nim Magdę do komórki.

Magda była ambitna, harda, miała charakter. Zaraz nazajutrz rano przyniosła drzewa i wody, jak co dzień, i poszła do fabryki. Na gniewy ojcowskie i przekleństwa nie odpowiadała, tylko robiła, a w sobotę całe pieniądze przyniosła do domu. Więc ją ojciec jakoś zostawił i nawet na wnuka wreszcie przystał.

Sama mi kiedyś to wszystko opowiedziała w słowach wesołych i prostych. Dumna była ze swego Tytusa bardziej, niż zażenowana jego istnieniem. Wyrósł wkrótce na małego giganta, mogącego zda się w przyszłości łamać podkowy. Magda twierdziła, że jej go wszyscy zazdroszczą.

Z wielu rzeczy była dumna. Często dostawała chrypki i wtedy mówiła, że jest tylko bardzo „delikatna na nogi” i nie może boso chodzić. Skutkiem owej chrypki, braku zębów i zbyt dużego języka miała dykcję upośledzoną i wyrazy rodzime wymawiała z anglosaska.

Ledwie się Tytus trochę odchowwał, gdy złe skłonności Magdy znowu ją z dobrej drogi sprowadziły. Jej drugi chłopak urodził się nieżywy, ale Kwietnie już w ogóle mieli tego dosyć i Magdę z domu wypędzili. Nie mając gdzie jeść i spać, Magda nie mogła już chodzić do fabryki i dlatego musiała iść do służby.

A wtedy już wszystkie małe drzewa i krzaki, posadzone naokoło naszego domu, dorosły. W sadzie gruszki i jabłonie, którym przed laty mazało się korzenie mokrą gliną i nawozem i wsadzało w wielkie doły, pełne różnych, na długie lata przygotowanych przysmaków, zrobiły się powoli takie duże, że dla zrywania owoców trzeba było wchodzić na nie po drabinie. Bzy zaczęły już zasłaniać widok na łąkę: ich wielkie, pachnące, ciężarem własnym w dół przygięte, fioletowe kwiaty czarownie wyglądały wiosną na tle ciemnej zieleni dalej rosnących jałowców. A same jałowce też wyciągnęły się w górę i cokolwiek od dołu podkrzesane wyglądały teraz jak małe cyprysy — cyprysy poznane już wtedy naszymi oczami na skalistych zboczach dalekiego, obcego, nadmorskiego wybrzeża.

Najgorzej było z jaśminami, których młode badyle posadzono kiedyś w dwóch miejscach przed oknami. Zrobiły się tak wielkie i rozrośnięte, że okna nie było można odemknąć. A gdy się je jednak wreszcie odemknęło, to jedna gałąź, wpuszczona wewnątrz i ustrojona białym, dusznie i upajająco pachnącym kwiatem, sięgała poza biurko aż na środek pokoju — i zawsze trochę się naśmiecilo, kiedy ją się znów wieczorem wykuwało za okno.

Skończyło się wreszcie na tym, że jaśminy zupełnie się wykopało sprzed okien i posadziło całkiem daleko na jednym klombie; chociaż już stare, przyjęły się bardzo dobrze i zawsze kwitły białą i pachniały.

Cóż powiedzieć o osinach i olchach nad łąką, o leszczynach, które z małych różeg rozrosły się w gąszcz nieprzebytej, leżący na granicy starszego i młodego ogrodu? Teraz byłoby gdzie bawić się w Indian, byłoby z czego robić śmiertcionośne łuki. Ale niestety nastał już czas, kiedy zaczęłyśmy się bawić czym innym.

Przypomniało mi się tak jakoś to wszystko w jedno majowe, cudowne popołudnie. Właśnie siedzimy sobie na dole w ogrodzie, mówimy o tym i owym. Słońce wiosenne świeci z lazurowego nieba. Brzozy nad nami zesypują z bazi długich złoty popiół nam na głowy — popiół wiosennej pokuty za grzechy niepopelnione.

Siedzimy więc pod tymi brzozami, a od domu przychodzą i mówią, że wróciła Magda i chce nam pokazać swego nowego chłopaka.

Z tą wiadomością przybiega tłusta i wesoła Broneczka, dziewczyna jak cud. Jej uśmiech ma jakby smak poziomek, oczy są koloru liści, a policzki białe i różowe, jak kwiat jabłoni. Cała pachnie silnie trawą i wodą, tak że gdy sprząta pokoje, trzeba je zawsze potem jeszcze długo wietrzyć. Lubi się pośmiać, potańczyć, ale chłopców trzyma z daleka. Za mąż jej się nie śpieszy, chce sobie jeszcze użyć, zanim zaczniesz niańczyć dzieciaki.

Ta tedy Broneczka oznajmia pośród śmiechów i wzruszeń ramionami, że przyszła Magda, żeby pokazać swego nowego chłopaka.

Zastajemy Magdę na małym ganku za domem. Wydaje się jakaś niższa i drobniejsza, objuczona od przodu wielkim tłumokiem, parokrotnie w brudne chusty poowijanym dzieckiem. Nogi cienkie i bose ma rozstawione szeroko i zakończone cienkimi, płaskimi jak łopaty stopami (te właśnie nogi, na które jest „delikatna”). Jak wszystkie młode matki, wyładniała nieco:

oczy niebieskie ma powiększone i silniejsze rumieńce na chudej twarzy.

Magda kaszle: kchy! kchy! — jak gdyby dla nabrania kontenansu. Idzie bowiem o to, że właśnie mają być chrzciny małego.

— Jakże dawno się urodził? — pytam. Mała, czerwona mordeczka dziecinna pomarszczona jest jeszcze i szpetna, wyrazem przypomina twarz stroskanego starca.

— A już będzie czwarty dzień.

— Jakże to, i już taki kawał przyszłaś ode wsi? I jeszcze go sama dźwigasz!

Magda z dumą się uśmiecha. Prosimy, żeby przynajmniej usiadła.

Ogląda się na ławeczkę i siada, opuszczając na zdrożone kolana drogi swój ciężar gestem ostrożnym i troskliwym.

— Nic mi nie będzie. Ja już zaraz na drugi dzień przecież wstałam.

— Czemu? Magda kaszle.

— Kchy! Kchy! Ja tam nie lubię długo leżeć, zaraz mi się przykrzy. Wszyscy się dziwią, jaka jestem zdrowa.

Dziecko zresztą musiała ze sobą zabrać, bo bratowa poszła do prania, a matka też przyjść nie może; sadzą kartofle. „Nie ma komu przypilnować”. Ano, to już teraz jest zrozumiałe.

— I istotnie taka jesteś zdrowa, Magdo? Uśmiecha się z pychą.

— Ja już wczoraj tyle kartofli nasadziłam, że się wszyscy dziwili. Jego biorę ze sobą na pole, boby mi się zdawało, że mu tak samemu w domu krzywda.

Uwaga wraca znów do chłopaka: śpi lub raczej drzemie tylko, małe oczy ma rozchylone, lecz jakby nie patrzące, zatroskane jakąś troską własną i tajemną,

— Nie chce wcale ssać — mówi Magda i znów się śmieje. — Bo i nie bardzo ma co. Wczoraj mu kupiłam na targu pół kwarty mleka — i to mi się jak na złość zwarzyło. To mu dałam herbaty, ale mądry — aż się wszyscy dziwili: nic chciał. Pluł i wymiotował. Nie dał się oszukać.

— A pieniądze masz?

— O, mam dosyć — odpowiada zaraz Magda. — Tylko na jedne chrzciny toby mi się może

przydało.

Te sprawy też widocznie układają się pomyślnie. Rozmowa ożywia się i nabiera cech wzajemnego zaufania.

— Jak go niosę te cztery wiorsty, to mnie nie ciężko, tylko mie w lewym boku ogromnie kłuje. Ale bo taka jestem delikatna na nogi: zara o byle co kaszle. Po tem, co się urodził nieżywy, to byłam zdrowa, ale po niem to kaszle. Kchy! Kchy! Ani jedne noc nie spałam: bo w dzień tak śpi, że ani go obudzić, a jak się w dzień wyśpi — w nocy płacze. Kiedy ide, to w ten gorąc jestem cała mokra, aż mi koszula lepi się do ciała. A znów jak się tak zgrzeje, to mie potem zimno trzęsie, ozgrzać się nie mogę. I głównie mi weszło w głowę, chodzę jak kołowata. A jeść to wcale nie potrzebuje, wciąż bym piła herbatę.

I tutaj znowu akcent dumy; nie wypada tłumaczyć sobie tego inaczej, jak wrodzoną Magdzie wybrednością smaku.

Rzeczywiście nic w usta wziąć nie chce, prócz herbaty.

— Może jednak byłoby dobrze, gdybyś się; tak jeszcze na parę dni położyła.

Jej spojrzenie wyraża nieklamane politowanie, a wargi spalone gorączką naśmiewają się wzgardliwie z takiej ludzkiej głupoty. „Ja tam nie lubię leżeć”, powtarza.

Uczuwa się wobec niej zażenowanie — jak zwykle wobec osób, mających więcej pewności siebie.

Trzeba opanować głupie współczucie, do którego Magda swym postępowaniem bynajmniej mnie nie upoważnia. Trudno jednak powściągnąć się od myśli o „końcu żalonym” złego.

I mimo woli stają w oczach „miłe” jego początki.

No — nie były one miłe, nikt w to nie uwierzy.

Przypadły na ten czas właśnie, kiedy Magda była w służbie, a Tytus chował się u starych Kwietniów. Chociaż roboty się nie bała, pracownica z niej była nieświeżna. Nocami znikła bez śladu, we dnie zaś chodziła jak „kołowata”. Widoczne było, że co innego jej w głowie. Mówiono, że ciągle jeszcze się kocha w starym, gajowym, który dał życie Tytusowi.

Skąd bowiem wziął się Tytus? Z tego po prostu, że Kwietnie potrzebowali drzewa, a nie mieli na nie pieniędzy. Więc Magda od dziecka latała zimą i latem do lasu. O gajowym zaś wiadomo było, że jeżeli pozwala brać drzewo z lasu dziewczynom, to już nie za darmo, że żadnej nie przepuści. Wiedzieli o tym i Kwietnie — a przecież Magdę do lasu posyłali.

Gajowy był to chłop stary, żonaty, dietny. Córka jego była w jednych latach z Magdą, chodziły razem w niedzielę do kościoła na naukę.

Myślałam z początku, że Magda jest niewinną, nieszczęśliwą ofiarą drzewa, że poświęciła się dla rodziny. Ale bliżej poznawszy te sprawy, zmieniłam zdanie: Magda bładziła z miłości.

Magda kochała. Kto nie zaznał mąk i czarów prawdziwej namiętności, nie pojmie nigdy, jakie siły gnały Magdę czarnymi nocami przez łąki, zasypane śniegiem po pas lub zalane wodami wiosennymi roztopów. Bosa, ledwie odziana, puszczała się przez grząskie błota i mokre trawy, w wichrowe słoty jesienne i zimowe zadymki — mężna, beztrwożna, nie bojąca się ciemności, samotności i pustki. Mokre paprocie, kępy olszyn i jeżyny kaleczyły jej nogi, z igieł sosnowych ciekła woda, gałęzie uderzały po twarzy. Pod chmurami czy pod księżycem, mała, czarna, przyziemna, mknęła tak — niesiona miłością, szpetna, radosna, młoda wiedźma, gnana głodem najśłodszy, silniejszym niż obawa wszystkich cierpień ziemi.

Zjawiała się o porankach — szalona od szczęścia, upadająca ze zmęczenia, ochlapana błotem, i stawała do roboty, nie dając się nikomu prześcignąć.

Patrzac na tę jej miłość — głodną, upartą, nigdy niesytą — myślałam słowami Fedry z Racine’a:

C'est Vénus tout entiere à sa proie attachee...

Raz wreszcie dane mi było poznać tego, który w sercu Magdy pierwszy obudził uczucie tak silne.

Muszę przyznać, że naprawdę przeszedł moje oczekiwania. W kuchni za stołem ujrzałam siedzącego chłopca starego, tęgiego, o nosie czerwonym i oczach zapuchłych. Widać było, że czuł się jak w domu na tym miejscu. Magda kręciła się koło gościa — rozkoszna, uśmiechnięta. Wchodząc, zauważyłam gest szybki, z jakim butelkę piwa ukryła pod stołem. Pozostawiła na nim jednak z całą szczerością szklanki z płynem nie dopitym.

W sytuacji tej nikt nie mógłby dopatrzeć się nic złego: dzień był świąteczny, a prócz gajowego w izbie znajdowała się poczciwa stara Kwietniowa i Irenka, których dawno nie widziałam. Po uprzejmych powitaniach wymieniłyśmy z Kwietniową parę zwykłych grzeczności. Zgodziłyśmy się, że Irenka bardzo wyrosła.

Istotnie wyrosła i wyładniała jeszcze. Była dziwnie miła ze swymi pełnymi, leniwymi do śmiechu ustami, z sennymi oczyma. Kwietniowa powiedziała, że Irenka nie chodzi jeszcze do żadnej roboty, że się tak tylko kręci po domu przy ojcu.

Magda dodała ze śmiechem, że Irenka jest rozpieszczona: boi się bucików zabłocić i pan gajowy przeniósł ją teraz przez łąki od samego lasu na rakach,

W słowach tych zadźwięczał wierzno-kobiecy podziw dla siły w mężczyźnie, dla jego rycerskiej galanterii. Była dumna ze swego kochanka, nie umiała, nie chciała tego kryć.

Roześmieli się wszyscy, sam gajowy także. Cała jego obrzękła twarz rozjaśniła się zadowoleniem. Z wolna wzrok przeniósł z mówiącej Magdy na milczącą Irenkę.

Wkrótce potem Magda znowu opuściła te strony i odtąd z dala już tylko interesować się mogłam jej losem. Ilekroć jednak ją widziałam, nie słyszałam od niej nigdy słowa skargi, jak gdyby nieznane jej były chwile upadku ducha.

Od Broneczki tylko wiedziałam, jak sprawy stały naprawdę. Magda nie mogła nigdzie dostać się do służby. Gdy wróciła do domu, ojciec sprzął ją i wyrzucił spod rodzinnego dachu. Brat także nie od razu zgodził się ją wziąć do siebie, zmiękł dopiero, gdy przyrzekła cały zarobek w sobotę przynosić do domu. Gajowy, choć bogaty, zawsze tylko brał od Magdy pieniądze i poczęstunki, ale sam nie pomógł jej nigdy — i jeszcze, gdy się ze starym Kwietniem przy wódce spotkał, razem z nim na Magdę gadał.

Tak, stosunki jej rodzinne nie najlepiej się ułożyły. Tylko matka, w tajemnicy przed ojcem, dawała jej czasami parę groszy.

Miałam to wszystko w pamięci, widząc ją teraz, niosącą mężnie i pogodnie cały ciężar tej niewłaściwej miłości,

Okazało się, że celem odwiedzin Magdy było nie tylko pokazanie chłopaka, ale także zaproszenie na chrzciny.

— A kiedy chrzciny?

— W niedzielę! — wyjaśniła. I nawet te krótkie słowa wypowiedziane były z dumą.

Odbyły się istotnie w niedzielę. Ojciec był nie tylko „nieznany”, ale i zgoła w kościele nieobecny. Przyszła za to cała rodzina Magdy. Nie byli to źli ludzie, jak się w tej chwili okazało, nawet stary Kwiecień uważał za słuszne się zjawić. Irenka wyglądała uroczko. Magda z wypiekami na twarzy promieniała dumą i szczęściem.

Na chrzciny zakupiono różnych rzeczy, była też wódka i kiełbasa. Bawili się wesoło. Tutaj, na ucztę, stary gajowy przybył chętnie, zasiadł za stołem koło Kwietnia i przepijali do siebie całując się i mile gawędząc. Ale Magda zmęczyła się drogą do kościoła i przy gościach leżała na łóżku.

Ponieważ jednak przygotowała wszystko, więc nie była potrzebna; sama nic jeść nie mogła, wypijała tylko parę szklanek zimnego piwa.

Po chrzcinach nie mogła się jakoś podnieść przez cały tydzień. A ledwie wstała, mały Wicus, dla którego bratowa przynosiła mleko z targu i który tak zdrowo się chował, dostał konwulsyj i umarł.

Pogrzeb też był nienajgorszy. Gajowy nie szedł za trumienką, ale na przyjęciu po pogrzebie był. Magda zaś urządziła je również dosyć wystawnie.

Ojciec Magdy i jej kochanek znowu upili się i całowali. Upiła się też Irenka i zasnęła sobie na łóżku Magdy.

Po pogrzebie Wicusia Magda zabrała się ostro do roboty. Gdy w parę tygodni potem zjawiała się znowu, była czysto i przyzwoicie ubrana. Wyglądała też lepiej i wcale nie kaszłała.

— Słuchaj, Magdo — powiedziała oględnie. — Rozmawiałam z Marcinem: czy wiesz, że on chce z tobą się ożenić?

Magda spoważniała, wydeła usta, wzruszyła powoli ramionami.

— Wiem — rzekła chłodno. — To i cóż?

Zadziwiła mi jej wzgardliwość, jej jak gdyby obrażona godność. Wydała mi się dumną księżniczką, której proponują mezalians.

Marcin nie był złą partią, ceniony w okolicy jako robotnik dobry i człowiek uczciwy. Był to wdowiec, stary i bogaty, ale tak chciwy na pieniądze, że na zimę zostawiał syna w chałupie na gospodarstwie, a sam szedł do służby, by z wiosną wrócić znów na rolę.

Po chwili milczenia ciągnęłam:

— Marcin jest porządny, wszyscy go szanują, jest bogaty. Dzieci ma dorosłe. Chętnie wzięłby Tytusa do siebie, jak swoje dziecko...

Magda milczała zachmurzona. Uczułam pewne zaniepokojenie.

— To prawda, że jest dla ciebie za stary — ciągnęłam zmieszana. — Ale zawsze...

Patrzyła z wysoka i niedbale, jakby opędzając się od mego natręctwa, przerwała:

— Dla mnie to by nic nie szkodziło, że stary — ale gdybym go lubiła.

Ustąpiłam, zawstydzona mym nietaktem. Wkrótce potem zaręczyła się z Marcinem nie Magda, tylko urodna Broneczka. Była przecież biedną dziewczyną bez gruntu, a Marcin miał osiemnaście morgów i mnóstwo uskładanych pieniędzy. Ja jednak, wtrącając się swoim zwyczajem do nie swoich rzeczy, chciałam ją odwieść od tego postanowienia.

— Jesteś młoda i niebrzydka. Cóż ci z tych jego pieniędzy? Wiesz, że jest skąpy. Będiesz

musiała razem z nim chodzić na zimę do służby.

— E, już ja tam sobie z nim poradzę — odrzekła niedbale. Zrozumiałam, że byłam wobec niej równie nietaktowna, jak niedawno wobec Magdy.

W parę tygodni po ślubie przyszła mię odwiedzić. Była świeża i ładna, jak zawsze, trochę tylko spoważniała i nabrała godności. Widać było, że to bogata gospodyni, mająca wpływ na męża i szacunek ludzki.

Zapytałam ją o Kwietniów i Magdę. Roześmiała się.

— Oho, gajowy to już na Magdę nie patrzy — przepędził ją na cztery wiatry.

— Co ty mówisz — rzekłam, nie wiedząc, czy cieszyć się mam, czy martwić tą wiadomością.

— Stary Kwiecień wyganiał do lasu po drzewo Irenkę. Ona nie chciała i matka ją broniła, ale stary Kwiecień starą tak zbił, że się przez dwa dni ruszyć nie mogła. Takie to są ludzie. — Mój ta jest dobry, nie mogę powiedzieć, szanuje mię. Ale Kwiecień to podły chłop. — Postąpiła jeszcze i powiedziała wesoło: — A teraz to już Irenka sama do lasu lata, nie trzeba jej przymuszać... I razem z gajowym prześmiewają się z tej głupiej Magdy.

Znowu minęło parę miesięcy. Szłam kiedyś sama tą śliczną drogą, która prowadzi polami za wsią do lasu.

Jeszcze raz był maj. Pachniała ziemia, liście i trawa Niebo było niebieskie i czyste jak woda. Od strony zachodniej płynęły cicho ku wschodowi miękkie, powiewne obłoki.

W głębi tego radosnego obrazu, wsunięta w daleką zatokę między las sosen czarnych i gaj dorosłych już teraz, złotych brzoź, obciążonych długimi zielonymi baziami — leżała czarna woda torfowiska, nad którą wykołysało sit; dzieciństwo Magdy i Irenki. Woda czarna — a na fali, wzniesionej wiatrem cichnącym, czarnomodra.

Z dawnej chałupki Kwietniów nie zostało nawet zagłębienia w ziemi. Zawaliła się też długa szopa z szarych desek, dokąd zwożono niegdyś torf na taczkach i układano w stopy, sięgające dachu.

Tamtędy właśnie, przez nagie torfowisko, prowadziła droga, którą szło się po drzewo do lasu — wydeptana po wielokroć „delikatnymi” nogami Magdy — droga miłości.

I właśnie tą drogą wracała teraz z lasu Magda. Niosła drzewo, małą wiązkę suchych gałęzi sosnowych — tyle co na ugotowanie ziemniaków do wieczery.

Szłam ku niej drogą naprzeciwko. Jakże mizerna i szara wydała mi się w tej stronie odsłonecznej jej postać, zgięta pod małym brzemieniem chrustu, ujęta w przepyszną, posępną ramę czarnomodrej wnęki jeziora.

Przypomniałam sobie ostatnie informacje młodej Marcinowej — i zrobiło mi się żal Magdy. Myślałam, że powinnam ją teraz ośmielić, ująć jakoś, dać jej zapomnieć dawnych uraz. Samo życie przecież przekonało ją, jak dobra była ta rada moja, której nie zechciała posłuchać.

Zatrzymałam się i przywitałam ją serdecznie.

— Jakże tam, Magdo? Dawnośmy się nie widziały. Co porabiasz teraz? jakże Tytus się chowa?

Z jej brzydkiej, chudej, czarnej twarzy z rumieńcami wyjrzały na mnie oczy, gorejące najczarowniejszym ogniem miłości i szczęścia.

Odpowiedziała, że mieszka teraz sama. Tytusa wzięła od rodziców do siebie i ma już z niego pomoc: gdy wyjdzie z domu na robotę, Tytus pilnuje siostry.

— Siostry? — zapytałam, nie mogąc ukryć zdziwienia.

Magda uśmiechnęła się z dumą i znów we wzroku jej błysnęło jakby politowanie dla mej ignorancji.

— Pilnuje Andzi — dodała, jak gdyby to mnie już o wszystkim miało pouczyć. — Mogę ją zostawić, on nie odejdzie. Da jej pić, jeść, przewinie, wszystko w ogóle;..

Byłam zupełnie zaskoczona tą nową fazą rodzinnego szczęścia.

— No dobrze, a ileż ma twoja Andzia?

— Idzie jej już na czwarty miesiąc. A taka mądra, że się wszyscy dziwią.

Podrzuciła sobie na plecach wiązkę chrustu, przewiazaną postronkiem.

— Mądra i zdrowa — ciągnęła. — Tylko że nóżki ma trochę krzywe, ale to przez to, że bardzo delikatna jest na kości. A do chrztu to ją trzymała — Irenka.

— Irenka?

— A jakże! — i Magda ruchem brwi wyraża jakąś myśl, pełną niedostępnej dla mnie, najwyższej finezji. — Irenka z ojcem.

— Z twoim ojcem? Tak?

— A tak.

Mój Boże. Więc oto jest wprawdzie znowu jakaś Andzia, ale do chrztu trzymana przez Irenkę i nie—przeblaganego starego Kwietnia. Widocznie wszystko .się zmieniło.

Pożegnałam Magdę, ciesząc się, że harmonia w rodzinie Kwietniów tak szerokie zatoczyła kręgi.

Za następną tedy wizytą Marcinowej dzielę się z nią moimi wrażeniami.

— No, teraz to już Magda zupełnie zapomniała o gajowym.

— Ale, ona go tam kiedy zapomni! Jestem zdziwiona.

— Jak to, Broneczko? Przecież żyje w zgodzie z Irenką i ma już nawet jakieś nowe dziecko. Sama zresztą mówiłaś...

Ale Marcinowa śmieje się jak za panińskich czasów. Spoważniałam, cokolwiek urażona.

— Nie zechcesz chyba, moja Brońciu, wmawiać we mnie, że się przesłyszałam lub że wszystko, co powiedziała mi Magda, było nieprawdą.

— Kiedy one teraz, proszę pani, obie do niego latają.

Odwrociłam się z niesmakiem i postanowiłam przerwać tę rozmowę. Nie mogłam uwierzyć, aby dramat życiowy Magdy takie oto znalazł rozwiązanie.

A jednak to właśnie było prawdą. Marcinowa nie chciała pozostawić mi w tym względzie żadnych złudzeń.

— Gajowy nieraz przepędzał Magdę kijem, to prawda. Ale taka zawsze wróci. Zimą to czasem po parę godzin stała na śniegu pode drzwiami — póki się stary nie zlitował i tej wariatki nie wpuścił.

— Co ty mówisz? — powiedziałam ze smutkiem, przygnębiona takim sponiewieraniem kobiecości.

— A teraz to czasem i we dwie razem idą do lasu — i dopiero ta głupia Magda pod oknem czeka swojej kolei. Taka u nich zgoda... Ludzie to wszystko wiedzą i każdy się z Magdy śmieje, a ona nic. Bo w oczy nikt jej nie zaczepi, taka harda. Niech Bóg broni, żeby kto na gajowego co powiedział.

I Marcinowa śmieje się — dostatnia, spokojna, stateczna, wyższa ponad głupie szaleństwa namiętności.

Mijają wiosny i jesienie, a Magda nie nabiera rozumu, nie chce się opamiętać. Ona — wielka miłośnica, poniewierana przez kochankę, wyśmiewana przez ludzi, skazana na nędzę i kąt cudzy — nie zazdrości nikomu spokojnego dachu, czystego domowego ogniska, dostatku ani cnoty. Jest dumna i szczęśliwa tym niezrozumiałym dla innych dobrem, które za tak drogą kupuje cenę. Nieprzeliczone razy nogi jej niezmućzone przemierzają tę drogę przez łąki, przez czarne torfowiska, do głuchego, szumiącego lasu, gdzie zamieszkało jej szczęście.

Po Andzi Magda miała jeszcze dwóch chłopaków. A na ostatnich chrzcinach mówiła ze śmiechem, żeby się wszyscy przygotowali, bo na przyszły rok o tej porze urządzi nowe chrzciny.

Od dni naszego dzieciństwa upłynęły długie lata.

Widzieliśmy przez ten czas wiele krain i miast i wiele różnych domków, stojących w ogrodach na wzgórzu.

Z dalekich krawędzi otwierały się widoki cudne na parowy, wysłane wierzchami lasów, na pola i gaje i ciche wsie w kotlinach. Z dróg prowadzących pomiędzy winnicami błyskały w dole miasta obce i wieże kościołów, okryte w słońcu mgłą perłową. Spod twardych świecących liści krzaków południowych widzieliśmy ruchome morze — białe, jak płynny ogień, w słońcu i czarnoszaferowe w stronie odsłonecznej — a na nim chwiejące się lekko wątle motyle żagli. Widzieliśmy także z piasków brzegu, między złotymi słupami czarnych sosen, ciężkie, poważne, złe morze północy.

Ale widok z naszego domku — ponad brzoskwiniami i czereśniami — na dużą łąkę w dole i zielony las na horyzoncie — wcale nie przestał być najpiękniejszy.

A zmieniło się przecież tak wiele od czasów dzieciństwa.

Nie jesteśmy tam już samotne. Za górą, w stronie północnej, gdzie dawniej było tak dziko i bezludnie, lasy okoliczne przerzedły, poprzegryzane czworobokami parkanów, pozostawiane domkami i willami. Poprzez wierzchy sosen słychać teraz w oddali głosy ludzkie, szczenie psów, rąbanie drzewa. Jakiś żuraw od studni skrzypi głośno i zabawnie. Różne cudze koguty pieją o różnej porze — na deszcz albo na zmianę, albo tak tylko pieją. Daleka sąsiadka nawołuje zwykle przed wieczorem: — Józefka! Józefka! — A nikt nie wie, jak wygląda owa Józefka, ani nawet, kto tak woła.

Tak jest teraz. Ale nie od razu przecież stało się to wszystko.

Przez długie lata stał za górą tylko jeden jedyny domek Dziobaków.

Było to pierwsze sąsiedztwo naszej młodości i towarzyszyło nam aż do ostatnich lat. Za nas powstał ten domek i za nas zniknął. Któż by uwierzył, że nie zostało dziś po nim ani śladu. Smutna to była historia.

Pamiętamy przecież to miejsce jeszcze z czasów, gdy był tam dziki las, wysłany wysokim mchem zielonym. Pamiętamy, jak zbudowano ten mały domek, a przed nim pierwsza pani Dziobakowa kopała wysokie klomby swego ogródka i sadziła w nich pachnące na całą okolicę kwiaty. A dziś widzimy, że znowu tam nic nie ma. Na pustym miejscu puściły się małe sosny i brzoźki — i tylko parę zdziczałych jaśminów, jedna jarzębina i jedna czeremcha mówią o całej przeszłości.

Któż by uwierzył, że i młody Dziobak, drugi pan Dziobak, już nie żyje!

Wydaje mi się, że to dziś jeszcze widzę go z okna, jak o najpóźniejszym zmierzchu wiosny, lata i jesieni powraca od dalekiego lasu, na przełaj przez całą łąkę, w stronę swojej chałupki — i prowadzi na zbyt krótkich postronkach dwie kozy, z którymi długie godziny dnia przepędził w lesie.

Tak — pan Dziobak nie był już zdalny do niczego innego, tylko do pasania tych kóz. Odkąd go tak coś przez pół złamało, że mógł chodzić tylko bardzo powoli i zgięty prawie do ziemi, nie brał się już do żadnej roboty. Nawet nie wiedzieliśmy, że taki jest stary.

Pamiętaliśmy przecież, jak żenił się ze starszą od siebie pierwszą panią Dziobakową, a także, jak później ożenił się ze znacznie młodszą od siebie drugą panią Dziobakową. Trudno uwierzyć, że dożył tak jednak prawie w naszych oczach swoich sześćdziesięciu kilku lat. Bo nie zmieniał się wcale, nie był siwy — i nawet tak wpół przełamany, uczepony do kija — na starca nie wyglądał.

Nigdy nie zapomnę tej jego niezmiennej przez ciąg lat wieczornej drogi przez łąkę do domu. Czarny, przygięty do ziemi, ciągnięty i szarpany przez niestateczne zwierzęta, raczej on przez nie prowadzony niż one przez niego — wracał tak, niby dziwny jakiś symbol czy zjawą — za każdym krokiem niejako wciąż ku tej ziemi głębiej zstępujący, która miała go tak niezadługo w głąb swoją przyjąć i przygarnąć.

Gdy się go tak widziało, ukazującego się z daleka pod lasem, można było przysiąc, że idzie z jedną kozą. Ale któż lepiej od nas wiedział, że było to tylko optyczne złudzenie, stąd wynikało, iż jedna koza pana Dziobaka była czarna, a druga biała — i tylko tę białą widać było w oddali i w zmięczeniu jego powrotów.

Te właśnie dwie kozy, z których biała była matką czarnej, te kozy, żywiące mlekiem swoim ubogich teraz Dziobaków, ważną i zgubną rolę odegrały w ich życiu. One to bowiem były przyczyną, że mały ich domek znikł z powierzchni ziemi.

Kozy zniszczyły Dziobaków — ale nie tylko Dziobaków. Cała okolica stała się ich ofiarą.

Wszyscy bowiem nowi sąsiedzi, którzy pobudowali się w lesie, zaczęli hodować kozy — zwierzę pożyteczne, które byle czym się pożywi.

Przy wielu domkach nie było nawet całego morga swojego gruntu, więc kozy wypędzano na pastwisko do lasu, na drogi, na polanki i ugory. Widziało się je wszędzie — prowadzone na postronkach, po dwie lub trzy, przez dziewczyniny o białawych warkoczykach, przez chłopaków w za dużych czapkach i rozciętych w dole porciętach. Kozy snuły się wzdłuż dróg, wysadzanych wierzbami i akacjami, skakały na drzewa owocowe w cudzych, licho ogrodzonych sadach. A wyganiane wśród złorzeczeń przez właścicieli — szły dalej, odzierając z zieleni każdy kąt, niszcząc podszycie leśne, nie tykając tylko sosen i olszyny.

Gdy wiosną zakwitły po łąkach kaczeńce, kozy ciągnęły tam całymi zastępami — nie lubiąc bowiem trawy, chętnie pożerały te kwiaty, żółte, pachnące, bujne, świecące jak złoty nalot na wodnym błękitcie rozlewisk i jasnej, młodziutkiej zieleni traw.

A zaczęło się to wszystko tak niewinnie. Po prostu jedna sąsiadka, zaradna, pracowita i nie dająca nikomu powiedzieć sobie marnego słowa, pani Bracka, właścicielka największej posiadłości ośmiu morgów zaraz za posesją Dziobaków — oprócz wielkiej willi dla letników zbudowała przy drodze małą budkę i wypuszczała ją na lato Żydom na sklepik. Cała wielka rodzina mieszkała tam w tej jednej stancyjce — razem z balonem nafty, paru bochenkami chleba, kilkoma bułkami i niezliczonymi pudełkami papierosów i zapalek. W dni pogodne rodzina wylegała na drogę przed sklepikiem, a w małym skrawku lasu naprzeciwko wisały hamaki, stały kołyski, suszyła się bielizna i krzyczały dzieci różnego wieku.

Ci to Żydzi sprowadzili ze sobą pierwszą kozę — bardzo ładną, zupełnie brązową, z małym koźlęciem. Mała żydowska dziewczynka, z zadziwiającymi zielonymi oczami, wodziła tę pierwszą kozę wzdłuż leśnej drogi, przez pola, do dalekiego obejścia Nowaków, którzy tym samym Żydom wypuścili znowu swój sad. I nikt wtedy nie przewidział, jakie w tych niewinnych i malowniczych wędrówkach czaiło się niebezpieczeństwo.

Po paru latach cała okolica zarośla się od kóz — wyschła, zszarzała, ogołocona z leśnego podszycia, z przydrożnych krzewów, z zielonych kęp i zagajów. Wszystko, co było zbytkiem, musiało zniknąć. Zostały tylko wysokie drzewa i przyziemna trawa, zasypana brunatnym igliwem sosen.

I wreszcie stało się tak, że ocalał tylko nasz kawałek lasu i mały ogród koło domu. Tam jedynie nie wtargnęły kozy, niekiedy tylko przesuając swe wąskie pyski przez dziury w płocie, by szczyptać parę listków akacji. A gdy kiedy która wpadła przez bramę nie domkniętą, wówczas podnosił się alarm niesłychany. Wszystkie psy i my same z okrzykami bieglyśmy w tę stronę i za uciekającą miotałyśmy przekleństwa na nią, na jej potomstwo i cały jej ród.

Tal więc po paru latach nie było już co jeść w pobliżu — i dlatego to pan Dziobak musiał wraz z innymi wędrować aż do owego dalekiego lasu, gdzie dzieło zniszczenia zaledwie się rozpoczęło, przez łąkę, która ocalała, okryta zawsze bujną trawą i kępami olszyny, którymi pogardzają kozy. I powracał stamtąd zawsze sam, najpóźniej ze wszystkich, nie mogąc nadążyć za lotnymi nogami małych pastuchów.

A teraz muszę powiedzieć, w jaki sposób kozy zniszczyły Dziobaków.

Tylko przez wiosnę, lato i jesień obie ich kozy, biała i jej córka, czarna, znajdowały pożywienie w lesie. W zimie trzeba było im dawać gotowane ziemniaki z osiorami. Przez całą więc zimę państwo Dziobakowie warzyli dla nich tę strawę w małej swojej kuchence — i nigdy nie otwierali okien, żeby ciepła nie wypuszczać. Kłęby pary przewalały się pod pułapem, wypełniając mokrym ciepłem kuchenkę i stancję. Wilgoć osiadała na ścianach, ściekała w dół kroplami lub srebrzyła się na murze bielą szronu. Aż wreszcie jednej wiosny przeżarta wilgocią ściana wywaliła się po prostu, ukazując w tym wnętrzu domku — komodę z serwetą, lampę salonową z kloszem w kształcie tulipana, dwa wazoniki z suszonymi trawami i dużo fotografii rodzinnych pierwszej żony pana Dziobaka.

Pan Dziobak nie miał już siły do ciesielskiej roboty. Domku więc nie naprawił, tylko sprzedał go na materiał, a sam zamieszkał z żoną w obórce kóz.

Odwiedziłam ich tam kiedyś po starej znajomości. Rozmowa szła ciężko, bo pani Dziobakowa była trochę głucha i bardzo nieśmiała, a pan Dziobak, rozgoryczony przeciwnościami losu, na bardzo krótką tylko chwilę się rozchmurzył.

Raz jeszcze stwierdziłam, że nie miał miłego usposobienia. Bo przecież nie było winą pani Dziobakowej, że dom się zawalił, że mieszkali w obórce, że pan Dziobak, zgięty we dwoje, do żadnej już roboty nie był zdatny. A przecież każde słowo, z jakim zwrócił się do niej, było pogróżką, wyrzutem albo obelgą. I słowa te wymawiał głośno, chrapliwie, z widocznym wysiłkiem — by tylko na pewno je usłyszała.

A ona wciąż coś robiła — szybko, jedno po drugim, nie odpowiadając nic, kręcąc się na tej małej, ciemnej przestrzeni — i tylko raz po raz to na mnie, stojącą za progiem, to na męża rzucała spojrzenie proszące i nieśmiałe, nawet jakby trochę zawstydzone.

Już zabierałam się do odejścia, gdy w nadmiarze nieukontentowania pan Dziobak — tak pogięty, jak był — znalazł sposób, by drugą żonę swoją, schyloną nad korytem, w którym karmiła kozy, kopnąć butem w ramię czy nawet twarz, bo poderwała się nagle — zaskoczona, z lekkim okrzykiem i obiema rękami zakryła twarz pomarszczoną, po której ciekły łzy. Ona, co jednym pchnięciem mogła powalić tego niedołężnego starca, jeszcze i tym razem nie powiedziała nic — w milczeniu przyjęła tę krzywdę.

Póki trwało lato, było im dobrze w tej obórce, ale na jesień musieli szukać mieszkania — i pan Dziobak przystał do sąsiadów na stróża.

Później przenieśli się jeszcze gdzie indziej. A następnej wiosny dowiedziałam się o śmierci pana Dziobaka.

Ale chcę wrócić do czasu, kiedy nie było jeszcze kóz, a domek Dziobaków stał pewnie i spokojnie między kwiatami — jakby nic nigdy nie miało zagrozić jego istnieniu.

Był wtedy taki zwyczaj, że na zimę jeździło się do miasta, by pić tam ze źródeł wiedzy i zażywać rozrywek, których tak gorąco pragniemy w czasie niebaczonej młodości.

Ale zawsze z nową tęsknotą i nową radością wracaliśmy na wiosnę do kwitnących brzoskwiń i bzów, do wyglądających nas psów i coraz starszego, coraz mniejszego domu nad łąkami.

Tak powróciwszy jednej wiosny, zastałyśmy rzecz nieoczekiwaną.

Za granicą naszego lasu, na zachodnim zboczu góry, ujrzałyśmy w dole piasek rozkopany i ustawiony z cegieł mały czworobok fundamentów.

— To się buduje Wiła — wyjaśniła nas Weronka i uśmiechnęła się kpiąco.

Miała przyczynę, aby odnosić się wzgardliwie do tego Wiły. Jej mała Mańka bawiła się w piasku przed progiem, a wszystko zdawało się za tym przemawiać, że w bliskim czasie przybędzie Mańce mały brat albo siostrzyczka.

— Wiła? — zdziwiłyśmy się nie wiadomo czemu. Weronka trochę się uśmiecha, trochę wzgardliwie krzywi, nie tając przy tym swoich zębów czarnych. Czujemy, że dowiemy się czegoś więcej. Istotnie Weronka mówi:

— Wiła ma żonę.

Ta wiadomość z wielu względów wydaje nam się sensacyjna.

Więc znalazła się taka, co go chciała? Widać nie wszystkie tak przebiegają.

— To już sobie stara Szczesniakowa poradziła, żeby się znalazła.

I Weronka znów się śmieje, aż wierzchem ręki zakrywa czarne zęby.

— Matka go wzięła i ożeniła. Sam nie chciał. Z woza, jak jechali do kościoła, to im przecie uciekał. Ale go dogonili i złapali, wsadzili znowu na wóz i zawieźli. Co to śmiechu było! Bo jeszcze w kościele to płakał. Cała heca!

— Dlaczego nie chciał? Czy była taka stara?

— Gdzie tam stara! Młoda! I dwieście rubli za nią wziął. Dom sobie teraz za to stawia. Murowany! Na tych swoich dwóch morgach piasku. Cegłę mu zwozi brat młodszy, Pietrek. Wszyscy kontenci, że się tymi dwoma morgami dał zbyć. Pewnie, stara toby w sam raz dla niego była. Szkoda, że go nieboszczka Dziobakowa nie chciała!...

I znowu śmieszki ironiczne i grymasy indygnacji.

Długo trwa, nim Weronka wyznaje nam wreszcie z ceremoniami, jak rzeczy stoją.

Ta żona Wiły była za dziewczuchę u gospodarza w Osowie. No i dosłużyła się tam do dzieciaka. Gospodarz wynagrodził ją, dał dwieście rubli.

Matka Wiły, dowiedziawszy się o tym, „„poszła do rodziców dziewczuchy, przedstawiła im sprawę, powiedziała o dwóch morgach, które daje synowi, ubiła małżeństwo. Wiła nie chciał za nic, wykręcał się, płakał ze wstydu. Doszło do tego, że go matka razem z ojczymem bili.

I jak się wszyscy uwzięli, dopięli swego i ożenili kalekę z taką tam.

Dziecko przyszło na świat we dwa miesiące po weselu. Żyło wprawdzie tylko parę dni, ale za to Wiłowie byli już małżeństwem.

Po owej rozmowie z Weronką często przechodziłam koło płotu, w tym miejscu, gdzie las graniczył z posesją Wiły. Przy rozpoczętej robocie niewielu było robotników, budowa szła powoli. Ludzie przychodzili i odchodzili. Widać było starą Szczesniakową, jak z grubymi rękami, założonymi na wypukłym brzuchu, spokojnie przypatrywała się swojemu dziełu. Widać było

młodego męża, ojczyzna Wiły, chłopca, jak dąb, i jego brata, Onufrego Szcześniaka, który niedawno wrócił z Ameryki i już trzeci raz się ożenił.

Przy robocie wałęsał się o kiju sam Wiła — trochę niby pilnując innych, trochę i sam pomagając. A obok niego — żona, obca, nieznaną kobieta. Nie nosiła się po miejsku, jak cała rodzina Wiły — ale po wiejsku: w pasiastej kiecce i czerwonej chustce na głowie, w białej koszuli płóciennej zamiast stanika. Z daleka nie można było zobaczyć jej twarzy.

Był jakiś piękny czerwcowy dzień. Okwitły już jasnorubinowe brzoskwinie i białe, powiewne czereśnie, spadłe płatki kwiatowe grusz i jabłoni leżały jak brunatna rdza na ścieżkach, przestały pachnąć bzy. Skończyło się cudowne, upajające święto naszego ogrodu.

Na całych łąkach, od góry aż po daleki las, widać było kosiarzy. Dzwonek ostrzonych kos odzywał się to tu, to tam. Wysoka, brązowozłota od jaskrów i mietlicy trawa układała się w pachnące, długie wały, a ze spodu wychodziło na jasność słoneczną płaskie, jasnozielone dno łąki, znaczone szlakami ciemniejszych, podwójnych kolein, wydeptanych bosymi nogami kosiarzy.

Tak, to był próg lata. Minęło już to, co najpiękniejsze.

Właśnie szliśmy po drodze, wysadzonej krzakami olszyny, prostej grobli, usypanej w poprzek łąk. Ale stąd świat nie wydawał się taki piękny ani taki głęboki, jak z naszego ogrodu.

Dziwna zachcianka pociągnęła nas w stronę rozpoczętego domu Wiły. Mogłyśmy iść prosto do naszej furtki, a przecież wolałyśmy obejść wzgórzem te kilkadziesiąt kroków dalej — wiedzione niezdrową ciekawością poznania kobiety grzesznej, fascynowane nieodpartym powabem, jaki zawiera w sobie smutny świat niedobrej miłości.

Niski, czerwony murek, wyznaczający przyszłe ściany domu, stał tuż nad piaszczystą leśną drogą. Wystarczyło po prostu się zatrzymać, by powitać nowych naszych sąsiadów.

Wiła był w tej chwili zupełnie sam przy budowie.

Stał oparty plecami o pień sosny, zapewniający mu równowagę.

Drewnianą łopatą na długim kiju mieszał białą breję wapienną, przelewającą się w długiej drewnianej pace, wpuszczonej w piasek.

Powitał nas ze skwapliwym, pokornym ugrzecznieniem — jak zwykle.

Tak, budował się oto. Czas przecież mieć już kąt własny, miejsce na warsztat, zabrać się do porządnej roboty. Dotąd wciąż siedział kątem u matki. Źle mu tam wcale nie było, nie może powiedzieć. Ale wiadomo: wciąż to temu, to owemu zawadzał.

Kiedy może być gotowy taki dom? No, za miesiąc wyprowadzi się pod dach, a później okna, drzwi... Wiadomo. Zbudować dom — niemała to rzecz.

W czasie gawędy ukazała się na drodze niosąca wiadro z wodą młoda kobieta. Szła prędko pod górę ze swym ciężarem, robiąc duże kroki bosymi nogami po piasku. A za każdym krokiem wolną ręką zataczała krąg przez powietrze — by tym gestem zrównoważyć jakoś czy pomniejszyć wagę wiadra.

Czerwoną chustkę nasuniętą miała nisko na twarz. Podeszła nie patrząc na nas i pełnym wiadrem chlusnęła w wapno.

— To młoda gospodyni? — zadzierzgnęłam życzliwie.

Nie zapomniałam wcale, że nie chciał z nią się ożenić. Ale z chwilą, gdy małżeństwo stało się faktem, należało przecież zachować formy uprzejmości sąsiedzkiej.

— Widać, że się nie boi roboty — mówiłam. — Dobrze się nada do nowego gospodarstwa.

Wiła uśmiechnął się. — A tak — powiedział — roboty tu będzie dosyć — i pogrzebał wapno swą łopatką na długim kiju.

Zamilkliśmy na chwilę zmieszani. I młoda kobieta stała też nieruchomo z swym pustym wiadrem.

— Ruszaj po wodę! — nagle rozgniewał się Wiła. — Dalej!

Zanim pobiegła, podniosła na nas oczy. Nie była wcale zmieszana krzykiem męża, była wesoła. Po raz pierwszy właściwie ujrzałam teraz jej twarz — i doprawdy oniemiałam z podziwu. Była tak piękna.

To jest to słowo: była piękna. Niepodobna do żadnej najurodziwszej wiejskiej dziewczyny. Lata minęły od tej chwili, a dotąd widzę jej twarz w słonecznym cieniu czerwonej chustki zaczerwienioną od zmęczenia, usta na równych białych zębach roześmiane i oczy wielkie, ciemnoniebieskie, radosne, w oprawie doskonałej długich rzęs i cienkich, czarnych brwi. Prostą linią wąskiego nosa, gdy popatrzyła tak z dołu, przypominała miniaturę Pauliny Borghese, siostry cesarza.

Nie świeżość uśmiechu, nie wdzięk policzków, twardych jak jabłka i najszerszych pod oczami, ale ta nie—wiarogodna doskonałość rysów, to wykończenie każdego szczegółu uderzyło mnie najbardziej.

Trwało to chwilę tylko — bo oto zaraz pobiegła w stronę, gdzie była najbliższa studnia — piaszczystą drogą w dół, między małymi sosnami.

Milczałam oszołomiona. Kontrast w tym małżeństwie był czymś zupełnie niewiarogodnym, czymś, co pachniało tragedią.

I to właśnie jej nie chciałam o n! Czyż to możliwe! I teraz opowieść Weronki wydała mi się nieprawdziwa, przesadna czy wymyślona. Wobec takiej urody nie tylko szewc, pijak i kaleka nie zawahałby się pokryć jej błędu młodości swym nazwiskiem.

I była przecież nie tylko taka ładna. Była wesoła, pracowita — wyglądała na zadowoloną z losu.

— Można wam powinszować, Wiła. Macie, jak widzę, żonę dzielną, robotną, która naprawdę będzie wam pomocą. Jest przy tym ładna i dobroć patrzy jej z oczu.

Mówiłam poważnie i w ten sposób, aby tę sprawę naprawić. Chciałam oddziaływać na Wiłę, uświadomić go, że źle robił upokarzając tę kobietę, odtrącając po prostu dar losu.

Wiła wysłuchał wszystkiego spokojnie, mieszając swym kijem wapno.

Gdy wreszcie umilkłam, powiedział, nie zaprzestając swej roboty:

— Ładna. Ale Józefowa ładniejsza.

— Co? — nie mogłam pohamować zdumienia. — Weronka? Co też wy mówicie?

Wiła wciąż nie podnosił oczów od swego wapna.

— Ładniejsza, nie ładniejsza — ustąpił wreszcie. — Ale Józefowa jest — porządna...

W jego interpretacji zabrzmiało to tak: p o r z u n n a .

I było w tym wyrazie wiele jakiejś nieobjętej treści — tęsknota za czymś bezcennym i już nigdy nie dającym się osiągnąć.

Powiedziałam jeszcze coś o cegle, o tym, co koło do—

mu posadzą, o jakichś pantoflach do reperacji — i odeszłam w swoją stronę nie czekając powrotu czarodziejki, której uroda, dobroć, gorliwość, której cała młodość i wszystkie jej wartości, oddane w służbę kalece, nic tu nie mogły pomóc ani naprawić.

Widziałam ją wtedy, przez tę krótką chwilę, pierwszy i ostatni raz w życiu. Jakże wielką musiała być jej uroda, skoro zapamiętałam ją na zawsze.

Wiłowie bowiem nie zamieszkali nigdy w tym domku. I innym ludziom nawet sążone było rozpoczętej przez nich budowy dokończyć.

Matkę Wiły, która w sposób tak nieodwoalny pokierowała jego losem, znałyśmy — można powiedzieć — od niepamiętnych czasów. Było to tak: jednej najdawniejszej wiosny zobaczyłyśmy na dole, tuż przy granicy naszego pustego jeszcze lasu nieznaną, głośno płaczącą kobietę. Chodziła samotnie po polu, zaledwie zorany i obsiany — tym samym, które przypadło później na Wiłę.

Wiosna była wczesna, podobna do jesieni, chłodna i pochmurna — ale pełna jakichś wichrów i zapachów, odbierających dech, przenikających straszliwym szczęściem. Nagła tęsknota do tego szczęścia, której doznaje się niespodzianie w obcym dalekim mieście albo wśród wielkich śniegów zimy, gdy każda gałązka nieprzeliczonych drzew owinięta jest pieczołowicie białym szronem — czy to jest tęsknota do ojczyzny czy do dzieciństwa — nawet nie wiem.

W jedną tedy taką wiosnę dzieciństwa zobaczyłyśmy w polu chodzącą i płaczącą kobietę.

— Co to wam się stało?

Podeszła do nas, odejmując ręce od zapłakanej tłustej twarzy.

— E, nic takiego — odpowiedziała. — Płacę po mężu. Mąż mi umarł, będzie dwa tygodnie, jak go pochowałam.

Więc posypały się zapytania, na co umarł, ile zostało dzieci, kto pracuje w polu. I wszystkie wyrazy współczucia i pociechy, jakie zna ubogie, bezradne wobec nieszczęścia serce ludzkie.

Samotna, płacząca wdowa była właścicielką całych tych gruntów, ciągnących się na zachód od nas aż po ten stary, olbrzymi rów w lesie, na którego piaszczystych zboczach rosły zupełnie duże sosny.

Do niej też należała zagroda, leżąca wśród pięknego starego sadu — od nas z góry widoczna wśród pól tylko jako wielka kępa zieleni.

Wtedy też dowiedziałyśmy się, że syn najstarszy urodził się jako pokraka i najwyżej mógł paść konie. Drugi miał dopiero dziesięć lat. Było też parę córek, ale dokładnie, nie pamiętam już ile, bo nie wszystkie nawet znałem.

Dalsze losy wdowy Wiłowej były niedługie, wkrótce bowiem wyszła za męża i stała się panią Szcześniakową. W pewnym stopniu za naszą sprawą przyszło do tego małżeństwa.

Było tak, że robotnicy, którzy budowali nasz dom, mieli za daleko do miasta i nie chciało im się wracać tam na noc, a że u nas nie było jeszcze gdzie nocować, więc zamieszkali u Wiłowej.

Między tymi robotnikami był cieśla, wspaniały młody chłop — pewny siebie, a nawet zarozumiały, wyrażający się wyszukanie, mający różne wysokie ambicje. Z nim razem pracował zupełnie młody jego brat, Onufry, słuchający go we wszystkim i zapatrzony w niego; jak w obraz: Obaj nazywali się Szcześniacy.

Po pewnym czasie Onufry Szcześniak zakochał się w córce Wiłowej, Antosi, której było dopiero na siedemnasty. Tak się zdarzyło, że nie widziałam jej nigdy, ale opowiadano, że była nad podziw urodna. Onufry tedy zakochał się w Antosi, a tymczasem jego brat starszy, Wojciech, ożenił się z Wiłową. Wszyscy byli zdziwieni.

Człowiek młody, przystojny, pracowity, znany z niezwyklej siły, a przy tym zarabiający dobrze — bierze sobie za żonę kobietę o kilkanaście lat starszą, grubą, obarczoną masą dzieci. Prawda, że od razu został gospodarzem na dwudziestu przeszło morgach. Ale nie dla siebie przecież gospodarował, skoro cały grunt po ojcu zapisany był na sieroty, a Szcześniakowa miała zaledwie parę morgów.

Tymczasem siedemnastoletnia Antosia, chociaż ścisnęła się i sznurowała, nie mogła dłużej

utaić stanu rzeczy. Matka zgniewała się na nią strasznie, co dzień robiła jej wyrzuty i sceny, ojczym ją bił, a bratu zapowiedział, że na takie głupie małżeństwo nigdy nie pozwoli.

Antosia płakała od rana do nocy, nie mogła jeść ze zmartwienia i ze wstydu, chciała się topić. Onufry bał się sprzeciwić ukochanemu bratu, przychodził do roboty blady i zgryziony, nie śmiał ludziom patrzeć w oczy.

Wreszcie jednak Szczęśniakowie musieli ustąpić wobec konieczności i języków ludzkich.

Ślub Onufrego i Antosi odbył się na jesieni, a w miesiąc potem Antosia umarła, rodząc dziecko nieżywe. Nigdy nie mogliśmy zrozumieć, czemu tym dwojgu młodym zatruto wszystką radość ich pierwszej miłości, czemu aż do ostatniej chwili stawano w poprzek ich zamiarom.

Czy Wojciech Szczęśniak nie chciał dopuścić młodego brata do równej roli w rodzinie i władaniu ziemią, czy że Wojciechowa nie chciała w córce własnej zobaczyć swojej bratowej.

Dosyć, że tak się stało. Antosia umarła, a Onufry wyjechał do Ameryki.

Jeszcze przed jego wyjazdem Szczęśniakowa urodziła córkę. Rodzice nazwali ją Marcją i wyprawili bogate chrzciny, na których Onufry tak się upił, że zaczął robić awantury. Wymawiał bratowej przy ludziach śmierć Antosi, wyliczył, że Marcja też nie o swojej porze na świat przyszła, groził sprawiedliwością boską.

Aż brat musiał go zbić i zamknąć na całą dobę do komórki.

Szczęśniakowie nie mieli więcej dzieci, tylko tę jedną Marcję.

W parę lat potem zastawili sieroty ich losom i wynieśli się ze starego domu, gdzie objął gospodarstwo młodszy brat Wiły, Wojtek. Na gruncie żony, nad samą drogą, Szczęśniak wybudował duży dom drewniany z piętrem, podobny do willi. Tylko na jedno lato wyjechał gdzieś dalej na roboty ciesielskie — i starczyło mu zarobku, żeby założyć nowe gospodarstwo.

Przy Wojciechach oprócz Marci, dziewczynki o oczach czarnych i oliwkowej cerze, zamieszkała jedyna niezamężna córka Szczęśniakowej z pierwszego małżeństwa, wątpa i delikatna Emilka.

Wojciech Szcześniak chodził blisko i daleko na roboty, nie pił, nie palił, nie tracił, pieniądze przynosił do domu akuratnie. Ale młoda jego twarz zrobiła się zła i ponura, okryta zmarszczkami. Teraz nie wyglądał już tak bardzo na młodego męża starej żony. Oboje byli to już ludzie starsi — spokojni, rozważni, szanowni. Powodziło im się bardzo dobrze. W pracy na grzędach i zagonach pomagała matce Emilka; uprawiały warzywo, hodowały gęsi i świnie, powiększając jeszcze w ten sposób dobrobyt domu.

I tak gruba, brudna, stara Szcześniakowa wyszła na panią. Przestała ubierać się po wiejsku. W niedzielę nosiła piękny czarny szal koronkowy, czarną suknię z tricotiny, ręce wkładała w bawełniane rękawiczki. Tyła wciąż i była przecież coraz starsza, ale niejedna młoda mogła jej pozazdrościć losu. Mąż ją szanował i nie żałował jej niczego. Ubóstwiał też małą Marcie, która z dniem każdym stawała się bardziej podobna do niego. Gdy szli wszyscy w niedzielę na spacer albo z wizytą do pani Brackiej, dziwnie wyglądała ta rodzina. Wojciech — chłop dorodny, jeszcze młody, ale wychudły, pracą tygodnia zmęczony, ubrany odświętnie na granatowo, prowadził za rękę śliczną dziewczynkę w pąsowej sukience i z pąsową kokardą na czarnych włosach. Dalej szła Emilka w sukni granatowej ubranej czarnymi taśmami, w białym płóciennym kapelusiku na głowie i w białych płóciennych pantofelkach, robiąca wyglądem swym wrażenie miłej, ubogiej nauczycielki. Jej wdzięk i młodość były zupełnie bezużyteczne: nikt się w niej nigdy nie kochał, nie miała wcale starających się ani przyjaciółek.

Zawsze trochę w tyle za nimi postępowała Wojciechowa — gruba, czerwona, świecąca od potu — dumna ze swego rozumu, z miłości męża i ludzkiego szacunku.

Tuż obok nowego gospodarstwa Wojciechów osiedlił się we dwa lata po nich Onufry. Z Ameryki przywiózł sobie trochę pieniędzy na grunt i dom. Ale dom wybudował mały, ze starych belek, nie pomalowany, dziwnie brzydki.

Od tego domu do małej obórki dla kóz, w cieniu paru podkrzesanych sosen, przeciągnięty był drut, na którym ze zgrzytem mknącego tramwaju przesuwiał się we dnie i w nocy mały kudłaty pies, o byle co wpadający w istny szal wściekłości — jakby we wszystkim upatrywał przyczynę swego straszego losu, sens tajemny całej drogi życia, wyznaczonej linią drutu między tym domem i obórką kóz.

Onufry oprócz pieniędzy przywiózł z Ameryki tylko parę powiedzeń angielskich, których i tak nikt tutaj nie rozumiał. Młodą żonę wynalazł sobie już w kraju i to zaraz po przyjeździe.

Ta żona była chuda i czarna z pracy. Nie dawała szczęścia mężowi i sama nie zaznała go również. Dzieci jej przychodziły na świat systematycznie i często. Bite przez ojca i matkę, blade i brudne, pełzały w kurzu przed drzwiami.

Nie było tu kwiatów ani drzew. Onufry pił, włóczył się, ciągle gdzieś na próżno szukał pracy. Panowała tam nędza i jakiś smutek bez nadziei. W parę lat umarła ta druga żona Onufrego. Wkrótce ożenił się z trzecią, ale nic się przez to nie zmieniło.

Porównując te dwa domy sąsiedzkie, myślałyśmy sobie, że nie w młodości leży szczęście. Mówiono wprawdzie, że i Wojciech żonę bije. Nie wiem, czy to prawda. W każdym razie nie miało to głębszego znaczenia, niczego — że tak powiem — nie wyrażało. Każdy wiedział, że Wojciechowa jest mądra kobieta, że jeżeli czego chce, zawsze swoje przeprowadzi. Prawda, że mówiła niewiele, uśmiechała się nawet jakby z nieśmiałością i jej tłusta, szeroka twarz budziła zaufanie. Ale jeżeli powiedziała słowo, to już od niego nie odstąpiła. Zdanie swoje wyrażała głosem cichym i nawet leciutko przymykała przy tym powieki. Mimo to brzmiało ono jak wyrok i

niczym nie mogło być odwrócone. Jeżeli nawet Wojciech naprawdę swoją starą żonę bił, to czynił tak zapewne dlatego, by przed samym sobą niejako ukryć istotny stan rzeczy.

Może nawet działo się to poniekąd za jej zgodą, za jej wolą. W rzeczywistości bowiem musiała być zbyt pewna Swej przewagi, by chcieć ją czynić tak oczywistą.

Przecież nie wątpił nikt, że jeżeli Emilka pomimo urody i posagu nie wychodzi za mąż, to dlatego, że takie jest życzenie jej matki. Z sióstr ona właśnie była najdelikatniejsza, najbardziej ustępliwa, a grunt, który na nią przypadał, leżał tuż obok i był na razie jakby włączony do niewielkiego zresztą gospodarstwa Wojciechów.

Emilka pracowała w domu ojczyma od rana do nocy — zawsze łagodna, uprzejma i wesoła. A jeżeli wyszła kiedy z domu przy święcie lub niedzieli, to tylko z matką, której na krok nie odstępowała. I wydawała się z tego stanu rzeczy zupełnie zadowolona.

Pani Szcześniakowa dbała teraz o edukację swych dzieci. Na jej żądanie jednego lata Emilka chodziła na naukę do córki organisty razem z innymi wiejskimi dziećmi. W parę lat później tak samo chodzić zaczęła na naukę Marcia.

Była coraz ładniejsza, zawsze starannie ubrana, jak pańskie dziecko. Uczyła się wprost głodnie i miała wybitne zdolności. Była żywa, myśląca, ciekawa. Co raz usłyszała, umiała już na zawsze.

Mówił o tym z dumą jej ojciec, bardzo zadowolony z tego, że Marcia się uczy.

Wracał drogą z roboty. Był chudy i zmęczony, brunatny od słońca, potu i kurzu. Ale jego uśmiech i ruchy pełne jeszcze były młodości, którą w tak twardą zaprzągnął służbę.

— Powodzi wam się dobrze, ją jedną macie. Trzeba, żebyście ją oddali do miasta, do szkoły.

Wojciech od razu spoważniał.

— O, co to, to już nie, proszę pani. Co to, to nie.

— Dlaczego?

— Niech się tu na razie co nie bądź pouczy, owszem. Na to, to ja nic. Ale do prawdziwej nauki to jej nigdy nie dopuszczę.

Widocznie Wojciech wszystko, czego uczyła się Marcia u organistki, uważał za nieprawdziwe. Nie bacząc na to, wyliczyłam mu korzyści, jakie przynosi nauka.

W milczeniu wysłuchał mych perswazji. Byłam naprawdę zdziwiona tym niezrozumiałym oporem — u człowieka tak ambitnego, mającego wyższe aspiracje.

Gdy skończyłam wreszcie, sądząc, że go przekonałam, odpowiedział:

— No tak. Ale jak się w mieście wyuczy na panią, to potem rodzoną matką będzie gardziła, że prosta. Nie, to nie były własne jego myśli ani nawet własne jego słowa. To była przezorność starej Wojciechowej, która na najdalszą przyszłość chciała sobie zabezpieczyć przewagę.

W okolicy nie było wtedy żadnej szkoły ani nauczycielki. Nauczywszy się czytać i pisać, Marcia nie miała już po co chodzić do córki organisty.

Bojąc się nauki prawdziwej, pani Szcześniakowa nie uważała jednak za niebezpieczną dla swej córki nauki języka francuskiego. I tak zaczęła się znajomość Mar—ci z panną Sylwią.

Panna Sylwia! Od tamtej pierwszej w lesie rozmowy widziałyśmy ją może zaledwie kilka razy. Zamiast przybliżyć, lata przemijające oddalały nas raczej. Między lasem pana Fersena a naszym osiedlili się nowi sąsiedzi. Naprzód to byli państwo Dziobakowie, a zaraz za nimi — na nizinkach torfowych, zarosłych brzozaami i choiną, wysłanych ścisłym mchem zielonym, ozdobionych ciemną wodą stawu — rozłożyła się posesja państwa Brackich.

A i pana Fersena niedługo jakoś bawiło zajmowanie się ogrodem i kwiatami.

Pewnej wiosny cały swój las podzielił na kilkanaście odcinków, wytknął ulice, nasadził liściastych drzew, nawet wystawił sam parę willi i czekał na kupców. Zjawili się wkrótce. I cichy czarniawy las sosnowy rozebrzmiał nowym życiem.

Pan Fersen sprzedał nawet swoją własną willę i ogród z dużymi już drzewami, a sam przeniósł się do nowego domu, głębiej ukrytego w lesie. Odtąd przestaliśmy go widywać zupełnie. Słyszeliśmy tylko, że na tym przedsięwzięciu nie zrobił interesu i że podupadł na zdrowiu.

A panna Sylwia nie wydawała się nam już taka ładna i elegancka, jak w dzieciństwie. Tylko zawsze poruszała się żywo i śmiała wesoło, a białe jej zęby błyskały w tym śmiechu tak samo, jak za czasów młodości.

W czasie kiedy Marcia chodziła do niej uczyć się francuskiego — nie tylko za zgodą, ale na wyraźne życzenie swej matki — ani dla nas, ani tym bardziej dla pani Szcześniakowej nie było

wcale tajemnicą, jaką rolę grała panna Sylwia w domu pana Fersena.

Pani Bracka, granicząca teraz bezpośrednio z nową siedzibą Fersenów, gospodyni doskonała, ale osoba za—dzierzysta i zawsze o coś głośno warcząca na swoich rozległych granicach — to o kury, które przeszły pod sztachetami, to o kozy, którym zdaje się chętnie pozwalała paść się poza swoim ogrodem — wyraziła się kiedyś głośno na drodze:

— Ja jej pokażę, tej jakiejś, co tam siedzi u tego starego!...

Różne inne powiedzenia sąsiadów, aluzje i zwłaszcza zamilknięcia pozwoliły nam się powoli zorientować w stanie rzeczy.

O ileż jednak — mimo wszystko — pozory gorsze były od rzeczywistości!

Pani Bracka wyraziła się: *siedzi*. Cóż to właściwie było za siedzenie! Panna Sylwia przyjeżdżała tylko na lato, a i wtedy wcale nie próżnowała. Od Marci wiedziałyśmy już teraz, że panna Sylwia umiała też kopać w ogrodzie i pleć warzywo, a często, gdy nie było kucharki, sama gotowała obiad dla siebie i pana Fersena. Po tym obiedzie zaś miała jeszcze zawsze dwie lub trzy godziny lekcji z dziećmi różnych nowych sąsiadów. Prócz tego pan Fersen wymagał teraz opieki i starania: stracił władzę w nogach i przez cały dzień nie opuszczał fotela.

Na zimę panna Sylwia wyjeżdżała do miasta po to, żeby też pracować. A w miesiące wiosenne i jesienne, nie chcąc staruszka zostawiać tylko pod opieką służby, nie zważając na zimna i deszcze, póki mogła, co dzień jeździła do miasta na lekcje i co dzień wracała.

Jeżeli więc istotnie nie była wnuczką pana Fersena, to nie interes ani wyrachowanie kazało jej być dla niego tym, czym była.

Marcia przywiązała się do niej i często starała się jej w czymś dopomóc. Wyrosła na dobrą i uczynną dziewczynkę. Ale jej kwitnąca młodość, jej oczy płonące i pełne, pąsowe usta, jej bujny temperament zdawały się żądać i oczekiwać czegoś więcej, niż mieściły ramy życia, wyznaczone przez despotyczną wolę pani Szcześniakowej.

Marcia nie znajdowała w domu zrozumienia dla swych aspiracji. Pracowała zimą i latem przy gospodarstwie wraz z Emilką, która dotąd nie wyszła za mąż. A pani Szcześniakowa była teraz tak otyła, że chętnie wyręczała się córkami.

Rozmawiałam z Marcia o jej przyszłości. Mówiła, że jeżeli nawet wyjdzie za mąż, to na pewno za kogoś takiego samego, za kogoś niewykształconego. I właśnie nic się nie zmieni.

Zapytałam, czym chciałaby być, gdy dorośnie. Powiedziała, że największym jej marzeniem jest zostać akuszerką.

— Czy tak?

Nie umiałam ukryć pewnego zdziwienia. To marzenie naprawdę tak mało licowało z wiekiem i urodą dziewczęcia. Ale pochwaliłam jej wybór.

— Bardzo chciałabym być akuszerką — powtórzyła Marcia ze smutkiem. — Ale mama nigdy mi nie pozwoli na tyle nauki.

Otóż właśnie tego lata, kiedy obok nas zaczęli się budować Wilowie, zdarzyło się tak, że wyjechaliśmy daleko w świat. Kierowała nami niezrozumiała potrzeba oglądania rzeczy nieznanymi, obcych i sercu dalekich. Chociaż kochaliśmy przecie nasz dom i było nam w nim tak dobrze.

Dlaczego tak jest? Nie wiadomo. Ale niejednakowa piękność ziemi, jej zmienność i straszliwa rozległość jest zarówno radością, jak smutkiem serca człowieczego.

Iluż to cichych rodzinnych wód, obrębionych sitowiem i zasłanych liliami, iluż to rzek wesółych, pluszczących różną wodą pod gałęziami starych wierzb nie doceniłam, uczuwając wobec nich nagłą tęsknotę za cudownym żywiołem wielkich wód morza! Zamykałam powieki i widziałam je, to morze, gorejące od słońca i na całej przestrzeni migotające malutkimi, białymi cętkami światła, rozciągnięte płasko nad niewiadomą otchłanią dna. I myślałam: któż sprawia to zadziwiające, straszliwe widowisko płynnego, bladoszarego ognia w biały dzień, kto sobie to zamierzył, aby tak było?

Taka ciekawość, taka niecierpliwość i tęsknota zaprowadziły nas wtedy w świat.

Tym razem było to znowu morze, ale koloru mdłej zieleni, pocięte zygzakami piany, załamany na kantach fal, jak skrzydła mewie.

Obraz tych pian, przesuwających się i szamocących na mlecznozielonym rozłogu, był owym cudem, za którym niestałe oczy nasze odwróciły się na chwilę od najdroższego widoku łąki malachitowej, szytej kwiatami, od olch wysmukłych, stojących dwoma szeregami wzdłuż grobli i od granatowego, pod samym niebem w głębi przeciągniętego lasu.

Co prawda — widzieliśmy tam nie tylko morze z łodziami i statkami, a nawet okrętami wojennymi, ale także rozkoszne wesołe miasto nad jego brzegiem. A w jego hotelach i musichallach było wiele kobiet pięknych, zbierających dla siebie szczęście wszędzie tam, gdzie ono jest.

Rzadkie kwiaty i upajające wonie, dzieła sztuki i zbytku, kamienne tarasy pałaców, matowe, ciche perły na szyjach, cenne futra i tkaniny, cień rozmarzający karet, unoszonych ledwie wyczuwanym drganiem motoru, „miłosna muzyka dancingów, taneczne wędrowania w chętnych ramionach mężczyzn — wszystko, wszystko było na usługi kobiecej piękności.

A pośród tych wybranek losu — księżniczek i baletnic, wielkich artystek i kurtyzan — bardzo mało było takich, o których Wiła mogłaby z całą pewnością powiedzieć, że są p o r z u n n e . Powab cielesny rozgrzeszał tutaj wszystko, dawał panowanie i triumf nad wszelkim dobrem świata.

I dziwną rzeczą było pomyśleć — pośród uroku kipiącego tam życia — o tej pięknej wieśniaczce, dźwigającej na piaszczysty pagórek wiadra wody do budowy domu i pogodnie znoszącej grubiaństwo męża-kaleki. Rzeczą niewiarogodną było ujrzeć pamięcią tę twarz, w słonecznym cieniu chustki, jakby zdjętą z miniatury Pauliny Borghese, pięknnością mogące iść w zawody z najpiękniejszymi kobietami świata.

Jednak — szczerze mówiąc, nie myślałam o niej zbyt często, mając tak wiele i prędko do przeżycia.

I nawet gdy już wróciłam do swojego domu i swojej ojczyzny, zawsze na nowo zdziwiona ich jedyną i na nic nie zamienioną urodą — nie pamiętałam zupełnie o Wilach i nie interesowałam się ich losem.

Pani Bracka była tą, od której dowiedziałam się o epilogu tej biednej i malutkiej tragedii.

To mi jednak przypomina, że za mało dotąd mówiłam o pani Brackiej, która była przecież, jak

wiadomo, najlepszą w naszych stronach gospodynią i za jej to sprawą najbliższa nasza okolica w krótkim czasie zupełnie się przeobraziła.

Ładne dolinki z mchem zielonym i gajami choiny zamieniły się w zagony ziemniaków i truskawek. Od stawu leżącego tam od dawna pośrodku torfowisk, jak duży szafir w zaśniedziałej oprawie mchu, rozbiegł się cały system osuszających kanałów z malowniczo wygiętymi mostkami i starą łódką, którą chętni mogli wynajmować. Przede wszystkim zaś pani Bracka wystawiła dużą willę z mnóstwem kuchni i pokojów i wynajęła ją zaraz pierwszego lata wielu letnikom, a sama na ten czas ze wszystkimi dziećmi przeniosła się do dużej altany. Z zarobionych w ten sposób pieniędzy wystawiła drugą taką samą willę obok, ale następnego lata również zamieszkała z rodziną w altanie. Wkrótce też zbudowała na rogu ów pierwszy w naszych stronach sklepik, z którego rozeszły się kozy na całą okolicę.

Była to kobieta o silnych namiętnościach, skłonna do niezgod i awantur, zawsze z kimś zadzierająca i nie mogąca potem wyjść z podziwienia, jakie to są ludzie. Ale miała też wiele charakteru, wytrwałości i męstwa. Nikt jej nie lubił, ale szanował ją każdy.

Od wczesnej wiosny widać ją było w ogrodzie, jak ze starszymi dziećmi kopała, karczowała, robiła regulówkę, a potem sadiła i siała. Z tej pracy żywiła siebie i dzieci, bo pan Bracki, mając zajęcie w Warszawie, przyjeżdżał do rodziny tylko w niedzielę. Pan Bracki chodził elegancko, w meloniku i przy zegarku, ale był lekkomyślny, żony nie szanował, tylko miał zawsze jakieś inne, a co do pieniędzy, to prędzej zabrał coś z domu, niżeli przywiózł.

W pracy więc pomagały pani Brackiej same tylko dzieci, których miała ogromnie dużo. Zaledwie jedne wyrosły i wyjechały do Warszawy, już na ich miejsca były takie same nowe. Dziewczynki były wszystkie ładne i miłe, a chłopcy nieładni, podobni do ojca.

Naprzód było dwóch chłopców prawie w jednym wieku i trochę młodsza od nich siostra Zuzia. Zaledwie skopali część posesji, założyli na wysepkach sady wiśniowe i truskawkowe grzędy, już wyrosli. Jeden został fryzjerem, a drugi poszedł do wojska i wkrótce się zastrzelił z powodu nieszczęśliwej miłości. Zuzia też wyjechała, żeby prowadzić u ojca gospodarstwo i wkrótce wyjść miała za mąż też za fryzjera. Ale zupełnie tacy sami dwaj chłopcy kopali z matką grzędy ogrodu, a młodsza ich siostra pasła kozy i miała takie same niebieskie oczy i czerwone policzki jak Zuzia, a każdy wiedział, że kiedy wyrosną i pojedą do Warszawy, to nic się nie zmieni, bo nowe dzieci były już gotowe i tylko czekały swojej kolei.

Dzieci pani Brackiej szanowały matkę i naprawdę jej się bały, bo nie lubiła żartować.

Temu, że pani Bracka była taka popędliwa i jak ją coś zgniewało, nie umiała panować nad sobą, nikt inny nie był winien, tylko jeden pan Bracki. Nerwy jej stargał na nic. Żeby pan Bracki był taki, jakim być był powinien, wszystko byłoby inaczej. Takie dochody, jakie miała pani Bracka z ogrodu i od letników, wystarczyłyby na inne życie, gdyby nie długi, które wciąż trzeba było płacić w Warszawie.

Cóż z tego, że pan Bracki, owszem, przyjeżdżał, że lubił przejść się po ogrodzie, popływać łódką, spróbować truskawek, najeść się i napić z kolegami, których ze sobą przywoził, i posłuchać muzyki gramofonu. Inne go ciągnęły, na inne tracił wszystko, co zarobił. We własnym domu był tylko gościem, nie zatrzymały go tu ani dobre, zdrowe i miłe dzieci, ani dobrobyt wypracowany gołymi rękami pani Brackiej, ani poczucie obowiązku.

Gdy owego pamiętnego roku powróciliśmy z podróży, była już pora, kiedy pierwsze rdze i czerwienie plamiły liście klonów przed naszym domem. Niskie słońce sięgało dalej w głąb białych pokojów i w głąb cienistych uliczek sadu, ptaki milkły, a czerwone jarzębiny w ogrodzie obsiadały wesołe, kłótlive i żarłoczne jemioluszki. Rano i wieczorem było chłodno i rosa aż do południa nie wysychała na dużych, fiołkowo obrębionych liściach orlików.

Cały wierzch naszej góry powyżej sadu i cała jej strona północna pokryta była wrzosem

kwitnącym, jakby zasłana grubym fioletowym dywanem.

Jak zwykle po powrocie musiałyśmy obejść wszystko i wszędzie zajrzeć. I tak zeszyliśmy po wrzosie w dół, nad drogę, i zatrzymałyśmy się przy ogrodzeniu.

Drogą szła pani Bracka w pluszowym czarnym żakiecie i czerwonej chusteczce na głowie. Prowadziła za rączkę Franusia, jednego z trzeciej dwójki swoich synów, który był jeszcze za mały, by kopać w ogrodzie. W drugiej ręce niosła bukiet z georginij, astrów i nagietek, duży i zbity jak snop — niby uroczysty plon jesienny swego ogrodu.

— Dzień dobry pani — zawołałyśmy na nią. — Gdzie to pani niesie te kwiaty?

Pani Bracka zatrzymała się i puściła rączkę Franusia.

— Ano, na trumnę tego Wiły — odpowiedziała powoli, takim tonem, jakby to wymagało usprawiedliwienia.

— Co pani mówi! To Wiła umarł!

Widząc, że nic nie wiemy, pani Bracka nabrała pewności.

— Umrzeć nie umarł — wyjaśniła wyrozumiale — tylko go zabiło.

Otóż Wiła powracał nocą z miasta, szedł plantem po szynach. Może był pijany i dlatego, a może sam chciał — nie wiadomo. Dość, że rano znaleźli go na plancie nieżywego, poszarpanego przez maszynę. Jedną rękę miał oderwaną i jedną nogę, a twarzy to by nikt nie poznał... Trzy dni tak leżał, nim go zjechali opisać.

— Ale teraz to już leży w domu, u matki — kończyła pani Bracka uspokajająco. — Kupili mu trumnę, pantofle, obmyli ciało. Wszystko w ogóle, jak się należy. A jutro rano będą go grzebać.

Tak, cała ta kłopotliwa sprawa załatwiała się ostatecznie przyzwoicie.

— I pani teraz tam idzie? — pytałyśmy z niczym nie usprawiedliwionym niedowierzaniem.

Twarz pani Brackiej przybrała znowu wyraz smutku i niepewności.

— Trzeba mu tam zanieść tę trochę kwiatków. Obejrzała się za Franusiem i wzięła go za rączkę.

— Taki to i był ten Wiła, ale zawsze.

— To prawda.

Tak się złożyło, że nikt z nas na pogrzebie Wiły nie był. Dowiedziałyśmy się, że zaraz po pogrzebowej uroczystości rodzina męża wytłumaczyła młodej wdowie, żeby się teraz zabierała, skąd przyszła.

— A ona?

— Ano, zabrała się, zostawiła wszystko i poszła — powiedziała Weronka.

— Pewnie wróciła do rodziców.

— Taka — do rodziców? — powtarza Weronka i nie może się powstrzymać od kpiącego śmiechu. By ukryć czarne swe zęby, chowa twarz w wełnianym, czerwonym kaftaniku Stefanka, którego trzyma na rękach. — A kto by ją przecie przyjął — i jeszcze bez pieniędzy!

— No, a jej domek tu za górką?

— Domek i grunt to już zapisany na Emilkę. Stara Szcześniakowa tak wszystko zawczasu urządziła, że się teraz Wiłowej nic po mężu nie należy.

Wkrótce potem udało mi się lepiej poznać pannę Sylwię.

Były to właśnie dni wspólnej klęski i popłochu. Wszyscy starali się wtedy komuś pomagać lub szukać u kogoś pomocy, wszyscy się jednoczyli wobec niebezpieczeństwa.

Okolice nasza pustoszała. Ci, których stać na to było, odjeżdżali w miejsca bezpieczniejsze.

Ale w domu pana Fersena zostali jego mieszkańcy. Stary pan nie ruszał się przecież bez swego fotela. Nie będąc w możności przewieźć go do miasta panna Sylwia została razem z nim zupełnie sama — jedynie pod opieką jakiegoś małego, kudłatego psa — bez żadnej pomocy i bez środków do życia. Zaszłe zmiany bowiem pozbawiły pana Fersena jego dochodów, a panna Sylwia utraciła w tym czasie prawie wszystkie lekcje.

Pan Fersen siedział w fotelu na ozdobionej nasturcjami werandzie, z kocem na kolanach, z powieścią francuską w długich, żółtych palcach. Wobec przeciwności losu, które pozbawiły go wszystkiego, zachował przedziwny spokój. Nie zechciał nawet wiele mówić o tym, nie skarżył się na nic.

Zobaczywszy mnie, panna Sylwia wbiegła po schodach z ogrodu — w czyściutkim różowym batusie i czarnym fartuszk. Śmiała się wesoło, bo nie mogła podać mi ręki. Miała zawałane — właśnie szorowała rondle na brzegu sadzawki.

— A tak, tak — mówiła wróciwszy z ręcznikiem i kończąc się obcierać. — Już przecież od samej wiosny nie mamy wcale służącej. A dziadzio musi mieć przecież obiad i ciepłą kąpiel codziennie.

W mieszkaniu dywany były wytrzepane, szyby czyste, kwiaty utrzymane starannie, naczynia na kredensie świecące. Ta drobna, wesoła kobietka dźwigała na sobie bez frasunku cały trud pracy domowej. Sama z rana chodziła do miasta po prowianty. Chowiała też parę kur i duże, żółte króliki.

Przy swej żywości i ruchliwości była pedantycznie porządna. A gdy wszystko posprzątała i pozmywała po obiedzie, zasiadała jeszcze z uczennicami do lekcji.

Skarżyła się tylko, że traci ich coraz więcej. I jak przed laty — zapytała, czy nie znam kogo, kto by zechciał się uczyć.

Panna Sylwia mieszkała już tak dawno na obczyźnie, że zapomniała trochę swego języka i nawet wymowę miała zmienioną. Ale naturalnie na naszą okolicę to, co umiała, było zupełnie wystarczające.

Panna Sylwia musiała koniecznie tutaj dostać lekcje. Dziadunio wymagał ciągłej opieki, nie mogła więc wyjechać na zimę, nie mogła go zostawić samego.

Kiedy przyjechałam następnej wiosny, pan Fersen już nie żył.

— Mała szkoda, krótki żal — mówili sąsiedzi. Nikt go nie lubił, tego cudzoziemca, tego obcego urzędnika. Podobno umarł prawie z głodu.

— Jak zaczęło być źle, to sobie ta jego panna wzięła i pojechała do Warszawy — mówiła pani Bracka. — Zostawiła go, jak tego psa.

Nie zważając na ludzkie gadanie, poszłam ją odwiedzić — w pustym, samotnym domu.

Zdziwiła się i naprawdę ucieszyła na mój widok.

— Widzi pani, jestem sama, jestem zupełnie sama. Nie mam tu żadnej rodziny, nie miałam nikogo, prócz niego.

Pierwszy raz widziałam ją we łzach, tę śmieszka. Opowiadała o śmierci swego „dziadunia”.

Musiała wyjechać, to prawda, musiała zostawić go tutaj, bo uczennice powyjeżdżały i po prostu nie mieli co jeść. Sprzedawali naprzód trochę mebli, ale w tym czasie nikt przecież naprawdę nie

kupował. Tylko handlarze ofiarowali im za to grosze. Nie mogła też wyjeżdżać co dzień, bo nie było takich pociągów.

Oboje więc zdecydowali, że inaczej być nie może, że panna Sylwia musi wyjechać.

Wyjechała tedy, zgodziwszy młodą, niedrogą służącą, by pan Fersen miał jedzenie i posługę.

Przyjeżdżała wprawdzie, jak mogła najczęściej. Ale dowiadywała się, że lekkomyślna dziewczyna zostawia dziadunia samego przez długie godziny, zamyka dom na klucz i wychodzi.

Panna Sylwia musiała wracać potem do swych lekcji, zaklinając dziewczynę, by się poprawiła, robiąc jej obietnice i uciekając się nawet do pogrózek. Na próżno.

Raz przyjechała. Był mróz i śnieg głęboki. Zastała dom zamknięty. Ciemno było tam wewnątrz i cicho. Zdawało jej się, że słyszy słaby krzyk dziadunia.

Biła w drzwi, wołała, biegała do sąsiadów o pomoc i wracała.

Wreszcie przyszła służąca, otworzyła drzwi. Dziadunio leżał na ziemi koło łóżka, nieprzytomny, pozbawiony władzy i mowy.

Podźwignęły go, ułożyły na łóżku same — po ciemku. — Nie było światła, zabrakło świecy i nafty. Nie było doktora ani księdza.

Tak umierał. W ciemności, w chłodzie, bez żadnej pomocy. Było to naprawdę, jak koniec świata.

Na drugi dzień trzeba się było zająć pochowaniem dziadunia i zaraz wracać do lekcji. Panna Sylwia nie miała na pogrzeb. Ale jeden dalszy sąsiad pożyczył pieniędzy na trumnę i dał konie, żeby odwieźć dziadunia na cmentarz. Oddała mu już wszystko, ale nigdy nie zapomni mu jego dobroci.

I panna Sylwia, powtarzała: *Pauvre grand-père, pauvre grand-père!*... A jej małe, wesole oczy zapuchnięte były od łez.

Naprawdę, nie myślałam nigdy dawniej, żeby w tej śmiejącej się, małej kobietce było tyle przywiązania i uczucia.

I jeszcze dziwniejszy i bardziej nie wytłumaczony wydał mi się los tych dwojga ludzi.

Pan Fersen, zanim umarł, przepisał na pannę Sylwię swój ostatni dom i kawałek lasu, otoczony parkanem.

Było tu tak inaczej niż nad łąkami, że na razie wydawało się brzydko. Nie widać było ani łąki, ani pól, ani dalekiego lasu, nie widać było — powiedziałabym — powietrza.

Granicą widzenia były gałęzie najbliższych sosen, kawałek parkanu i uliczka, wiodąca trochę niżej do małej sadzawki, obrośniętej krzakami. Przy samym domu, na czarnym gruncie torfowym, rosły w małych klombach kwiaty — zwyczajnie jedno koło drugich, bez kawałka trawnika. A brzegi klombów obłożone były bielonymi wapnem kamykami.

Na pierwszy rzut oka naprawdę to wszystko było nieładne. Ale później, siedząc nieraz z panną Sylwią na werandzie, ubranej doniczkami nasturcji, i patrząc w małą perspektywę uliczki, na miedziane pnie sosen z klombami u stóp i bliską granicę parkanu, myślałam sobie, że w tym jest pewien urok — zamknięcia, odosobnienia i zupełnego wystarczenia sobie.

Odwiedzałam teraz czasami pannę Sylwię, widząc, jak naprawdę bardzo jest sama.

Była bowiem sama nie tylko na świecie, ale zupełnie sama w całym domu. I to było jak gdyby jeszcze gorsze. Zaczęły się chłody jesienne, deszcze i mgły. Dom otoczony był lasem, pierwsi sąsiedzi mieszkali dosyć daleko. Nie było już nawet psa — tylko parę kur w kurniku i dwa króliki.

Panna Sylwia przez cały dzień siedziała w domu, pilnując, by jej nie okradli. A w nocy czuwała. Ale nie paliła światła i nie zamykała okiennic. Bo mniej się bała, gdy mogła wyjrzeć przez okno na gałęzie drzew i krzaka nad sadzawką. Gdy sama widziała, że nie ma nikogo.

Pilnując tak swego dobra, panna Sylwia nie mogła już wyjeżdżać do miasta — i miała tylko tyle, ile zarobiła z miejscowych lekcji.

A pomimo kłopotów, osamotnienia i pracy była zawsze ufryzowana, świeżo uprana i uprasowana, chociaż różne jej batysty, koroneczki i falbanki od dawna już zrobiły się niemodne. I wokoło niej było czyściutko jak w pudełku. Przy dużej fotografii pana Fersena stały zawsze jakieś kwiatki w różowym wazoniku, na meblach i portierach nie było pyłku, haftowane poduszki leżały ładnie rozmieszczone na kanapach, podłoga była wyszorowana, a rondle w kuchni świeciły się, jak nowe.

W tym małym swoim światku żyła życiem tak czynnym i ruchliwym, ozdabiała to swoje trwanie w sposób tak niezmierny, że czasami wydawało mi się to wszystko małą dziurą w wosku, którą kręcąc się i wiercąc, pszczoła zmienia wreszcie w prawidłową komórkę.

I tak dość długo znałam pannę Sylwię, zanim z ust jej usłyszałam szczerą spowiedź życia.

Jej rodzice umarli wcześniej, a sieroty rozebrali pomiędzy siebie krewni. Panna Sylwia wychowywała się na wsi u wuja. Od dzieciństwa przywykła do pracy w ogrodzie i przy gospodarstwie. Wuj miał dużo swoich dzieci, więc po skończeniu szkoły panna Sylwia musiała sama myśleć o sobie. I wyjechała jako nauczycielka aż do Warszawy.

Wynajęła sobie ładny pokój, dała ogłoszenie do pism i dostała od razu dużo lekcji. Cieszyła się, że zbiera sobie pieniędzy i wróci do Francji, gdzie zostały jej siostry i brat, których prawie nie znała.

Miała równo dwadzieścia lat i była bardzo wesoła. Obiady jadała u właścicielki mieszkania wraz z innymi lokatorami.

Między nimi znajdował się też pan Ferens. Tak, poznała go zupełnie na samym początku życia, nieledwie nazajutrz po przyjeździe. I nie miała żadnego przeczucia, najmniejszego ostrzeżenia — snu albo znaku, nic.

Był to już wtedy starszy pan, pięknej powierzchowności, dystyngowany, szlachetny, bardzo

smutny. Uważano go za chorego albo zrujnowanego. Wszyscy go tam żalowali, ale nikt nie wiedział, co mu jest.

Sam jej to opowiedział kiedyś, z całą szczerością — przez wdzięczność, jak mówił, za to, że jest taka młoda : wesola. On miał wtedy lat pięćdziesiąt i czuł, że dla niego, wszystko się skończyło. Wskutek jakiegoś oszczerstwa ludzi zawistnych był ciężko oskarżony, miał sprawę, znajdował się pod śledztwem. Dlatego też musiał rozstać się z dziećmi i żoną, której rodzina objęła opiekę nad majątkiem, odsuwając go od wszystkiego, póki się z zarzutów nie oczyści.

Tak jej wtedy powiedział. Ale naprawdę było jeszcze gorzej. Bo dla jakiejś kobiety, czy kobiet, pan Fersen roztrwonił wszystko, co miał sam, i naruszył majątek, należący już do jego dzieci, a ponadto popełnił jeszcze nadużycie w swym urzędzie. Tego jednak domyśliła się i dowiedziała z różnych szczegółów i słów jego dopiero znacznie później.

W parę tygodni po poznaniu pan Fersen ciężko zachorował i tylko dzięki niej nie odesłano go do szpitala. W gorączce nikogo, prócz niej, widzieć nie chciał przy sobie. Pielęgnowała go dniem i nocą. A gdy wyzdrowiał, została przez niego zmuszona do miłości.

Aż do ostatniej chwili nigdy nie myślała, aby to mogło tak się skończyć. Miała zawsze dla niego tyle szacunku i tyle współczucia. Ale potem już nie mogło być inaczej.

Sprawa pana Fersena skończyła się źle. Posadę utracił, z rodziną nie mógł się już pogodzić, a mała suma którą rozporządzał, nie zapewniała mu bytu.

Wtedy pan Fersen postanowił się poprawić i jedna tylko panna Sylwia mogła mu w tym dopomóc. Przeniósł się w te strony i za resztę pieniędzy nabył tu tanio ten kawałek lasu. Z parcelacji tego kawałka żył, ale i na skromne życie nie mogło tego wystarczyć.

Tak się to zaczęło i trwało aż do końca. Panna Sylwia nie mogła już myśleć o powrocie do Francji. Rodzina jej nie była zamożna, ale bardzo zacna i szanowana. Nie zechcieliby jej już potem przyjąć. Okłamywać ich przecież nie mogła, nawet przestała zupełnie odpowiadać na ich listy. Mogli myśleć, że umarła.

I zresztą — już by jej wtedy było żal, już tak się przywiązała do „dziadunia”, że nie byłaby w stanie żyć bez niego. I on bez niej. Gdyby nie jej lekcje — przecież nie dałby sobie rady.

To wszystko była prawda. Słuchałam, oniemiała. Więc panna Sylwia od początku kochała tylko tego jednego starego pana Fersena. Więc oddała całą swą młodość, poświęciła rodzinę i ojczyznę dla tego zepsutego, odtrąconego przez społeczeństwo starca!

Nie wiedziałam, jak mam to nazwać: czy miłością karygodną, na nic nie baczącą, przywłaszczającą sobie bezprawnie najwyższy przywilej przebaczenia wszelkiego zła — czy bezkrytyczną kobiecą potrzebą poświęcenia i wierności, potrzebą opiekowania się czymś bezradnym, oddania siebie za wszelką cenę i byle jak...

Staralam się wyczytać z jej twarzy więcej, niż mówiły jej słowa. I dziwił mię zarówno żywy, wesół temperament, świecący jeszcze dziś w jej niewielkich oczach, jak wyraz dobroci i serdeczności, zdobiący uśmiech jej ust...

Co z tego sprawiło, że w starości i śmierci pana Fersena, w tym, co było u niego ekspiacją za przeszłość, panna Sylwia zamknęła całe życie własne.

Pewno nie wiedziała tego sama, jak zwykle nie wie się rzeczy najważniejszych.

Jednak uświadamiała sobie czasami, że te dwadzieścia parę lat życia, oddanych starości i występki, mogły być inne.

Kiedyś bowiem mówiąc, że nawet teraz, gdy została sama, nie może już powrócić do swoich, panna Sylwia miała jakby chwile upadku ducha. I łamiąc małe, spracowane ręce, powiedziała:

— *J'ai gâché ma vie...*

Oprócz tych wszystkich sąsiadów mieszkali jeszcze w naszej okolicy różni inni ludzie. Tylko nie wszystkich losy stały nam się tak bliskie, a wielu nie znałyśmy nawet wcale.

Przecież na pewno niejeden spośród nich zasługiwał także na wspomnienie.

Choćby na przykład taka pani Fuśniakowa!

Pomyśleć, że nie napisałam dotąd ani słowa o tych najbliższych naszych sąsiadach! Z nimi to przecież — od pierwszych dni aż do ostatnich — łączyły nas niczym nie zakłócone, najlepsze stosunki sąsiedzkie.

Państwo Fuśniakowie byli ubodzy, to prawda, ale za to ludzcy, honorni, dla biedniejszych od siebie litościwi, więcej jeszcze o cudzą krzywdę umiejący się upomnieć niż o własną. Nie było im łatwiej niż innym, a przecież z jednej tylko swojej pracy wychowali pięcioro dzieci na ludzi.

Sama znowuz pani Fuśniakowa umiała odmówić sobie wszystkiego. Chodziła obdarta i brudna, że strach było patrzeć. Ale miała charakter, była wymagająca od siebie i swoich. Dumna z dzieci, w robocie niezmęczona, szanowana przez męża, dźwigała pospołu z nim dobrobyt całej rodziny.

Ich domek stał w stronie zachodniej, tuż za lasem, zasłonięty od nas tylko gęstymi młodymi sosnami i trochę brzoź.

By ulżyć mężowi, pani Fuśniakowa w cięższe lata spędzała w tym domku długie zimowe miesiące sama ze swoją najmłodszą Jadwisią, cierpliwie czekając letniej pory, kiedy przyjeżdżały starsze dzieci. Zawsze łatwiej się tu obie przeżywały, a przy tym mogły dopilnować wszystkiego i przetrzymać do wiosny chociaż te parę kur i królików. A znów tymczasem pan Fuśniak pracował w Warszawie w fabryce dywanów i tkanin ozdobnych. Z niepotrzebnych obrzynków tych materii pani Fuśniakowa nieraz wysztukowała nawet jakieś ubranie dla Jadwisi.

Kiedy Jadwisia trochę podrosła, i ona także chodziła na naukę czytania do córki organisty.

Wtedy — w cudne poranki zimowe, gdy łąki całe tonęły pod śniegową kipiela, a góra i krzaki na niej, przydęte po szyć, i ciężkimi białymi śniegu na płaskich gałęziach obarczone sosny białeły pod modrą niebieskością nieba i migotały w słońcu jarzącym — nieraz spotykałam w lesie malutką, samotną Jadwisię, która z książeczką w ręku szła się uczyć. Wydawała się w pierwszej chwili niezupełnie prawdziwa, tak fantastycznie wyglądała w państwie tych śniegów niezmiernych i słońca. Wędrowała pod górę białą aleją wśród białych skrzydeł i piór oblepionej śniegiem choiny — i w swoim płaszczku z czerwonego brokatu w złote ptaki i liście, w niebieskim atlasowym kapturku i morelowych pluszowych trzewiczkach była doprawdy jakąś zabląkaną, niewiarogodną małą księżniczką z bajki.

A teraz jest już dużą dziewczynką i nie zechciałaby nosić tak niegustownego stroju.

Państwo Fuśniakowie byli dobrzy i szczęśliwi. Czy można o nich dużo pisać?

A znów w zupełnie drugiej stronie, w dalekiej głębinie pól pod samym lasem, stała obszerna zagroda Nowaka, jedyna, jaką można było zobaczyć z naszych okien. Z biegiem lat stodoła i chałupa schowały się zupełnie w zieloności, ale widać było kawałek dachu, żuraw od studni, wybiegające w pole poręcze sosnowego ogrodzenia, a wreszcie później nowo zbudowaną chatkę Sądów. Ponad różnymi drzewami sadu bujało kilka wielkich, starych brzoź, które wydawały się zawsze pogodne i jasne na tle dalej za nimi i za polami wyciągniętego lasu.

Wszystko to naturalnie mniej ładnie wyglądało, kiedy się patrzyło z bliska. Na zaśmieconym podwórzu rosło poźółkłe, brzydkie zielsko, pod płotem leżało zawsze mnóstwo kamieni, zwożonych corocznie z pola. Przy budzie leżał najsmutniejszy na świecie pies, którego ani w dzień, ani w nocy z łańcucha nie spuszczano. Gdy było podejść do niego, naprzód czekał

straszliwie, a później pozwalał się nawet głaskać i z dziwnym jakimś psim łkaniem przytulał się do kolan. Poważna i małowówna Nowakowa, w chustce związanej pod pachami, dźwigała za dwa uszy szaflik z żarciem dla świniaków.

Od dzieciństwa chodząc w tę stronę znaliśmy tak dobrze każdy szczegół.

Nowak — chłop bogaty — słynął z chciwości i skąpstwa. Gospodarstwo miał duże, konie, krowy, świnię, kawał pola, piękną łąkę i cały klin lasu. Chociaż stary, sam z jednym parobkiem dawał radę całej robocie, a żonie też próżnować nie pozwalał. Nowakowa znaliśmy najlepiej, bo co dzień przynosiła do nas mleko. Była poważna i smutna, maltretowana przez męża, ale nie skarżąca się na to przed nikim.

Cały ten majątek miał jedną tylko dziedziczkę, córkę Nowaków. Była zupełnie podobna do matki, miała poważną twarz, piękne rysy, małe, blade usta i żółte oczy o chudych powiekach. Ze swą skupioną, pochmurną powagą była najszlachetniejszym okazem chłopskiej rasy — wysoka, prosta, pełna godności i dumy.

Dostała męża — zwykłego, mocnego, robotnego chłopą, Sąda. Nowak oddzielił im mały kawałek pola, by się dorabiali. Zbudowali sobie chatę niedużą, posadzili parę wisien w ogrodzeniu i żyli tak pracowicie i biednie przy bogatych rodzicach.

Stosunki były, jak zwykle na wsi, etykietalne i skrupulatne. Jak im co było potrzeba, to sobie jedni od drugich kupowali. Darmo nie dawało się tam nic.

Po pierwszym dziecku na Sądzinę coś padło, mówiła od rzeczy i wyprawiała różne hece. Wariowała tak przez parę miesięcy, ale chłopaka, owszem, karmiła i bydlęta co dzień obrządziła. Później jej to jakoś przeszło, tylko była jeszcze smutniejsza niż przed ślubem.

Wkrótce potem urodziła drugie dziecko i wariowała znowu blisko rok, jakiś czas nawet nie chciała się wcale podnosić z łóżka, ale jakoś wróciła do swej roboty. Po trzecim znowu zaczęło się to samo — i tak jest ciągle. Pierwsze dzieci już są duże, a nowe jeszcze się rodzą. I Sądzina prowadzi niepojęte życie, zawieszona między macierzyństwem i szaleństwem, straszliwe życie, na które nikt nic poradzić jej nie może. Trudno patrzeć w te jej oczy, smutne i poważne, gdy siedząc na stołku przed małą, niczym nie ocienioną chatą, karmi swoje najmłodsze. Nie schyla głowy nad dzieckiem, tylko siedzi tak z oczami utkwionymi przed siebie, w niski, niedaleki las — żalonna, obłąkana madonna.

Stary Nowak jest coraz bogatszy, ale żebraka od bramy odpędzi i sąsiadowi nie pomoże. Dwa razy już napadali go nocą złodzieje. Katowali go i bili, żeby pokazał, gdzie chowa pieniądze. Raz nie wytrzymał i powiedział, ale za drugim razem już się uparł i nic nie mówił. Do samego rana trzymał się twardo — cóż, kiedy wzięli się potem bić Nowakową i wyśpiewała im kryjówkę. Ale za to Nowak ją jeszcze lepiej zbił po odejściu zbójów. I tego dnia jednak przyszła z mlekiem kulejąc, posiniaczona i skatowana, ale zawsze dumna i na nikogo się nie skarżąca.

W zagrodzie Nowaka stał dawniej jeszcze jeden dom w samym sadzie, gdzie czasami ktoś mieszkał, ale częściej było całkiem pusto. W pewien ulewny deszcz dał nam schronienie jego rozległy, opustoszały ganek. W ogródku niedaleko ganku stał tam krzak kaliny z czerwonymi jagodami, cały mokry i świecący od wody.'

I owa ulewa — i opustoszały ganek — i czerwona kalina — i szalona, na nic niebaczna lekkomyślność młodości... Ale o tym nie powiem nic więcej, bo nie żadne dramaty tu opisuję, tylko zwyczajne życie. A domu tego już nie ma — rozebrali go czy zawalił się, sama nie wiem. Po prostu jednej wiosny przyjechaliśmy — i już go nie było.

W zmęczonym, wydeptanym ogródku jest jeszcze ten krzak kaliny i takie same ma w lipcu korale. Gdy myślę o tym, załamuję ręce... Bo przecież nie było w tym mojej winy. Więc czemu? Więc czemu?...

Nie pisałam też nic o sąsiedzie tak ważnym, jak Mateusz Perguł — ten sam, który kiedyś dzierżawił Millerom po parę łokci gruntu pod ich wędrowny domek, i ten, który chodził do pani Dziobakowej w swaty od nieboszczyka Wiły.

Gospodarstwo jego leżało głębiej w polach, za Nowakami i Sądami.

Z jednego tylko od nas balkonu na górze można było zobaczyć tę ciemną pośród gładkich pól kępę zieleni, kawałek płotu z furtką i miłą wiejską drogę, do wrót obejścia prowadzącą, i starą, okrągłą gruszę polną, rosnącą blisko na koniczynie. Ten zaciszny skraweczek świata zamknięty był ściśle dwiema gałęziami niewielkiej sosny i jeszcze trochę przykryty od dołu koronami wierzb, rosnących na dole. Ale i sosna, choć stara, rozrastała się wciąż, i wierzby bujały ku górze. Zawsze na wiosnę kazało się wycinać trochę gałęzi z sosny i z wierzb, by sobie przez to okienko patrzeć czasami na Pergułową zagrodę. We dnie nad sadem unosił się mały dymek z niewidzialnego komina, wieczorem przebijało przez gęstwinę światło z niewidzialnego okna.

Ale kiedy następnej wiosny powracałam do naszego domu, to przez gałęzie nawet z tego jednego balkonu znowu nic widać nie było.

W tym spokojnym, ładnym zakątku mieszkali dobrzy ludzie.

Obejście Pergułów graniczyło z zagrodą Wiłów, w której po wyniesieniu się Wojciechostwa Szcześniaków na swoje — gospodarował Fietrek Wiła, młodszy brat nieboszczyka, ożeniony z bogatą i nawet edukowaną panną z miasteczka, człowiek zgodny i poczciwy. Oba te gospodarstwa objęte były jedną kępą zieleni i kiedyś stanowiły całość, obecna bowiem pani Szcześniakowa była Pergułówna z domu — i o jej to bracie rodzonym, Mateuszu Pergule chcę tutaj opowiedzieć tę smutną historię.

Perguł miał zupełnie inny charakter niż jego sąsiad, Nowak. Nie gardził i on pieniędzmi, gospodarował oszczędnie, wszystkiego sam dopilnował, bojąc się, że go oszukają — ale chociaż taki nieufny, był ludzki, żonę szanował i zapracować się jej nie dał, córkę hojnie wyposażył, a żebraka od progu nie odpędzał.

Był to bogaty człowiek. Rodzeństwo spłacił ze sprzedaży samego lasu, bo to na Pergułowym gruncie stanęła kolonia pana Fersena i gospodarstwo pani Brackiej, i domek Dziobaków, i Fuśniaków, i wiele jeszcze innych ludzkich siedzib. I na całym prawie gospodarstwie ojcowskim został sam. Powodziło mu się dobrze, ale nie zmieniło to w niczym jego poczciwego usposobienia arii prostego sposobu życia.

Znałyśmy go dobrze. Wiosną i jesienią sam zorywał swoje pola i podchodził z końmi i pługiem prawie pod naszą granicę. Idąc polami czasami zatrzymywaliśmy się przy nim dla pogawędki.

Zapalał wtedy fajeczkę i bardzo głośno pociągał nosem aż do samego gardła, a zaraz potem też głośno charczał i słuwał ostro między odwalone skiby. Było to rzeczywiście nieprzyjemne, ale doprawdy, gdybym nie wiem jak długo myślała, nic chyba więcej nie umiałabym temu Pergułowi zarzucić. Potem drugi raz zapalał fajeczkę, bo mu już zgasła, cmokał, pykał, pociągał, przyciskając dwoma palcami palący się już tytoń, i mówił chętnie różne rzeczy o świecie, o gospodarstwie i o polityce.

Podziwiał, jak to Pan Bóg każdemu przeznaczył swój czas, bo człowiek w nocy śpi, a w dzień pracuje, a na przykład taka sowa przez całą noc sobie lata.

— Ciekawe, ciekawe — powtarzał. — Albo taka ćma.

Po chwili dodawał:

— Albo na przykład nietoperz...

Często powtarzał te słowa: „ciekawe, ciekawe”. I nawet trochę przy tym kołysał głową, bo istotnie głęboko podziwiał cały świat boży.

Mówił też bardzo dziwne rzeczy o wojnie — i nigdy niczego nie był tak zupełnie pewny. Gdy dowiedział się, że ci albo owi gdzieś doszli, albo że jakieś miasto jest wzięte, mówił tak samo: „ciekawe, ciekawe” — i ruszał głową na żylastej, obrośniętej szyi.

Jednego był pewien, nie wiem czemu, to tego mianowicie, że lubił Włochów.

— Bo przecie Włoch to chrześcijanin, a Turek to niedowiarek.

I już to wcale nie wydawało mu się ciekawe.

Żona Perguła, chociaż już córkę jedynaczkę za mąż wydała, była przyjemna, jeszcze dosyć tłusta i biała, miękkiego serca i nieswarliwa. Siostry męża, Szcześniakowej, nie naśladowała, z bogactwa swego nie była dumna, nosiła się po wiejsku, jak zwyczajna gospodyni, i z mężem żyła zgodnie.

Aż jednej zimy Pergułów także napadli złodzieje i skatowali Mateusza w nieludzki sposób. Pieniądzy schowanych Perguł nie wydał, ale w dwie godziny po odejściu złodziei umarł.

Pergułowa też pieniędzy nie wydała, ale jej nie bili.

Wszyscy bardzo żalowali Perguła, każdy dobrze go wspominał, bo sąsiadowi pomocy nie odmówił, niejednego wspomógł, niejednemu pożyczył.

Należała mu się lepsza śmierć, ale nie nasza rzecz sądzić, co komu przeznaczone.

Kiedyś na wiosnę — wśród wielu miłych sercu i pamięci głosów, idących do nas od łąki i lasu — rozległ się dziwny głos nowy. Nie wołała tak kukułka, ani kumkała zaba niewiadoma w głębinie wiosennych wód.

Odzywało się to dużo razy albo raz — jasne i kryształowe — w różnych odstępach w ciągu całego dnia — gdzieś z dali, z głębi pól — i wydawało się obce pośród głośniego, nieustającego śpiewu ptaków, którym wysoko, aż po samo niebo, napełnione jest powietrze.

Czasami rozsiały się już zmierzch mlecznoniebieski i z wolna zacichał świat nad lasem, polem i łąkami — i nagle wtedy odzywał się ten głos daleki, dzwoniący, dziwnie krótki i jasny wśród nadchodzącej nocy. Wsłuchiwałam się bacznie, ale nie chciałam odezwać się więcej. A ja znów zapominałam o tej sprawie. I nawet nie przyszło mi na myśl, żeby kogoś zapytać, co to takiego.

Miałam wtedy zwyczaj — przez czas niedługi niestety — wspólnie z tęgim, niedużym i nie lubiącym żartów koniem, Pomidorem, zwiedzać okolicę. Robiliśmy to w ten sposób, że ja siedziałam na jego grzbiecie, on zaś już sam ponosił cały trud spaceru. A takie postępowanie tylko dlatego nie wydaje się nam szczególne, że od dawna weszło w zwyczaj i nie zwraca niczyjej uwagi.

Jeżeli jednak zastanowić się bliżej nad całą sprawą, to przecież jest to po prostu gorszące. Pomyśleć tylko: żeby jedno stworzenie siedziało na drugim i Jeszcze co jakiś czas poruszało mu kawałkiem żelaza wewnątrz pyska. — Co za wymyślność, co za efronteria i bezwstyd!

Bo jeżeli mała jeździ na psie albo kot na świni, to aż się taką rzecz pokazuje specjalnie w cyrku i nikt obdarzony dobrym smakiem nie przyjdzie, żeby coś podobnego oglądać. A człowiek na koniu pokazuje się wszędzie i widok ten nie tylko nie obraża przyzwoitości publicznej, ale owszem, niektórzy uważają, że jest estetyczny.

Tymczasem jazda konna w stosunku człowieka i zwierzęcia jest objawem najbardziej rażącym nierówności, jest czystym urąganiem nad godnością drugiej istoty. Ani zjedanie wołów i indyków, ani bardzo drastyczne dojenie krów nawet (dokonywane zresztą dyskretnie w cieniach obory i przez osoby jednej płci) nie wydaje się tak nieprzyzwoite.

Mniejsza z tym zresztą. Może te myśli przychodzą mi do głowy z tego powodu, że Pomidor swą powagą, uporem i wolą budził we mnie zawsze specjalny szacunek. Był to koń, z którym musiałam się jednak liczyć, który na pewne rzeczy się nie godził, który miał swe ambicje i idiosynkrazje. W ogóle posiadał więcej charakteru niż rozumu — i to zawsze najbardziej imponuje.

Jeszcze przed domem, gdy nań wsiadałam, jakoś zaznaczał swój protest. To wierzgał zadnimi nogami, to usiłował się niejako wymknąć spode mnie, to wreszcie wykręcał ku mnie łeb i chciał mię ugryźć w kolano. Ale potem już przez całą drogę szedł tak, jakby uważał to za słuszne, że na nim siedzę.

Tylko na różnych rozstajach zachodziły trudności, gdy okazało się, że co do wyboru dróg jesteśmy innego zdania. Pomidor kręcił się na miejscu przydreptując, jakby zależało mu właśnie, żeby tu, a nie gdzie indziej, najdokładniej uklepać kopytami piasek. Mogło tak trwać długo, jeżeli wreszcie nie uderzyłam go dość mocno stykiem. Wtedy zawsze wierzgnął zadnimi nogami i rzucał się gniewnie w tę stronę, gdzie należało.

Na ogół jednak wystarczały pewne ustalone sposoby porozumiewania się na te tematy.

Jeżeli mówię o tym tak szczegółowo, to dlatego, że we współżyciu moim z Pomidorem nie wszystko ułożyło się tak, jak bym była pragnęła. Nie myślę naturalnie o jakimś porozumieniu głębszym, o daleko idącym zżyciu czy przyjaźni — to są rzeczy rzadkie. Ale mnie i tego konia, z którym co dnia prawie spędzałam po kilka godzin, po prostu nic nie łączyło!

Już gdy go Kinus przyprowadzał osiodłanego, było w jego niedbałym stąpieniu, w jego upartym niepatrzeniu na mnie jak gdyby duchowe wzruszanie ramionami, jak gdyby ironiczne, wzgardliwe zapytanie: „Znowu?” Nie interesowało go nic z tego, czym się pasjonowałam. Nie rozumiał, po co się jeździ, skoro ostatecznie się wraca, nie zatrzymawszy się nigdzie. Nie rozumiał i zrozumieć nie chciał.

Ogromnie na przykład lubiłam, jak biegła z nami na spacer Diana, moja ukochana suka, staroangielski chart. Ona też. Już widząc, że się wybieram, odprawiała przy mnie skoki radosne, tańczyła, szczekała jak wściekła z niecierpliwości i uciechy. „Jedziemy, jedziemy” — mówiłam, by ją uspokoić — a już dobrze wiedziałam, że Pomidor będzie niezadowolony. Rzeczywiście tego nie lubił. Po prostu nie znosił Diany, oglądał się za nią niechętnie, zwalniał kroku — i jakby namyślał się, czy w ogóle iść, czy nie. Przecież dochodziło do tego, że gdy drobniutko biegła przed nim po drodze, niespodzianie wyciągał szyję i chwycił ją zębami za grzbiet — a ona odskakiwała skowycząc i rzucała na mnie w biegu spojrzenie pytające, bo nie gniewała się nigdy. Potem już o tym pamiętała i biegła zawsze obok albo z tyłu, żeby mu się nie nasuwać na oczy.

Ileż razy chciałam go sobie jakoś ująć i zjednać — na darmo. Kiedy dawałam mu chleb albo cukier, prawie udawał, że nie widzi, brał niechętnie, jak z łaski, gryzł patrząc gdzie indziej, pogardliwy. A sama słyszałam nieraz, jak rżał, gdy Kinus szedł zasypać mu owsa, który ja przecież, nie kto inny, odejmowałam sobie dla niego od ust. Kinusa lubił. Dla mnie był obojętny, dla mnie był niezyczliwy. A przecież mogło być inaczej.

Ale mniejsza z tym, powiadam, bo o moich zwierzętach piszę gdzie indziej, a tutaj idzie mi tylko o to, że właśnie jechaliśmy z Pomidorem miękką drogą przez pola, gdy nagle usłyszałam owo dziwne, jasne dzwonienie.

Poruszyłam cugłami i ujrzałam z profilu podłużną twarz Pomidora: był niezadowolony. Ale podreptawszy trochę na miejscu w nieszkodliwym gniewie, zgodził się jakoś i poszedł w tę stronę, pełen zresztą wyraźnej niechęci.

Znaleźliśmy się tuż w pobliżu cienistej zagrody Pergułów. Zobaczyłam dużą, zamożną chatę i stodołę, i oborę — i śliczny, niski stary sad i szare w nim, staromodne ule z pni drzewnych, wysoką trawę, prosiaki na drodze i złe psy przy budzie, na które boczył się Pomidor. Wszystko jak za życia Perguła.

Ale coś się tu przecież zmieniło.

Z jednej strony obejścia płot był rozgrodzony i na terenie starego sadu, wśród drzew, które się jakby rozstały, stał nowy, duży budynek, czarny i dymiący. Na wydeptanej trawie leżały dwa pługi i trochę jakiegoś żelastwa pod ścianą. Przez szeroko otwarte wrota zobaczyłam ognisko i czarną na nim figurę kowala z młotem w ręku.

To jego młot tak dzwonił tutaj na całą okolicę.

Zatrzymałam się mimo woli. Kowal wyszedł przed kuźnię i pytająco popatrzył.

— Nic nie wiedziałam, że tu teraz mamy tak blisko kuźnię — powiedziała usiłując odgadnąć, z kim mam do czynienia i czemu to w obejściu Pergułów znalazł się ten obcy człowiek.

— A tak — odrzekł, uśmiechając się bardzo białymi zębami w ciemnej twarzy. — A tego konika to ja znam: nieraz go tu już do nas przyprowadzali. Zgrabny konik, ale strasznie niecierpliw jest do kucia...

Pomidor widocznie także go sobie przypomniał, bo w żaden sposób nie chciał dłużej ustać na miejscu i musieliśmy jechać dalej.

Pomidor był zadowolony, że obeszło się bez kucia, i nie robiąc mi już żadnych trudności, biegł naprzód prosto przed siebie drogą, idącą przez grunta Pergułów i Nowaków w stronę najbliższej wsi. Za nami spieszyła drobnym truchtem Dianka, chwytając w otwartą zziąjaną paszczę cały kurz spod kopyt Pomidora.

Wzdłuż drogi szły dwa niegłębokie rowy, po brzegi pełne trawy i kwiatów, a za nimi w obie strony równe pola, puszyste od zielonych zbóż.

Zapach konia, kurzu i kwitnącego żyta zawsze jeszcze wydaje mi się zapachem młodości.

Za drzew dalekich pokazały się niskie dachy chat. Wyjechaliśmy na szeroką, piaszczystą drogę wiejską, raczej trakt jakiś prastary. Miałam teraz słońce prosto w oczy, ale zbieła już, roztapiające swój blask w cichej, lekkiej zasłonie obłoków na przedwieczornym niebie.

Nad naszymi głowami zwieszały się gdzieniegdzie większe gałęzie brzoź odwiecznych, których kilka zaledwie tu zostało z wielkiej niegdyś alei. Spoza nisko grodzonych opłotków buchała i przewalała się aż do ziemi zielona, zbita gęstwina sadów. Za niezgrabnymi wrotami stały w dziedzińcach, bokiem do drogi wybudowane, ale zawsze trochę od niej starą modą odsunięte chaty. Mały czarny cielak z urwanym postronkiem obejrzał się za mną. Później niechętnie usunęły się z drogi trzy gęsi, które Diana obeszła z daleka, i jedno dziecko wstało z piasku, żeby zobaczyć, kto jedzie,

Na bliskim podwórzu ujrzałem kobietę, niosącą duży sagan w stronę obórki. Ze zdziwieniem poznałam w niej Weronkę. Usłyszała moje wołanie i stanęła obrócona patrząc. A potem podeszła blisko i zatrzymała się przy wrotach swego obejścia, jak zwykle wiejskie kobiety.

Tyle razy tędy jeździłam, a nie wiedziałam wcale, że to tutaj stoi ten dom, wybudowany kiedyś przez starych Kwietniów.

Po wyniesieniu się od nas Józef i Weronka zamieszkali naprzód w domku nieboszczyka Wiły, w tym domku, którego budowy dokończył po nagłej śmierci brata Pietrek Wiła dla siostry Emilki, gdyby Emilka wyszła za męża. Ale wiadomo, że Szczęśniakowa Emilki za męża nie puści, więc ten domek jej niepotrzebny. Toteż go Szczęśniakowie wypuścili naprzód Józefom, a później wypuszczali komu się zdarzyło, tak że jego mieszkańcy wciąż się tam do dziś dnia zmieniają.

Za to Marcia, która uczyła się francuskiego u panny Sylwii, chociaż od Emilki gdzie! młodsza, za męża wyszła, ale za zwyczajnego zduna. I nie została akuszerką, choć tak pragnęła.

Stara, najlepsza, niezapomniana Kwietniowa we wojnę umarła, a Kwiecień, ten sam, który nie szukał na nią postronka, ale bił, czym popadło, wziął sobie drugą żonę i zamieszkał we wsi żoninej. Wtedy Józef spłacił ojca, coś tam dał Magdzie i Irencie i coś jeszcze młodszemu bratu — i mieszkali już teraz w tym domu na swoim. Gruntu nie mieli wcale, tyle tylko, co koło domu te parę drzewek i obejście. Ale Józef pracował w Warszawie, a Weronka co roku dzierżawiła sobie parę morgów pod kartofle — i zawsze miała przynajmniej przez zimę czym przekarmić krowę i prosiaki.

Józef, podobny kiedyś ze wszystkim do ojca, teraz — nie można powiedzieć. — bardzo cię poprawił.

Pieniądze przywozi do domu co tydzień, dzieciakom odzienie kupi, o wikt dba, nie pije — tyle, że pali.

Weronka jest tą, która sprawiła ową przemianę. Śmieje się zadowolona, ale nie zakrywa już zębów wierzchem dłoni, jak dawniej, nie ma ich wcale — i dlatego nawet mówi teraz trochę niewyraźnie. Gdybym jej nie pamiętała z dawnych czasów i zobaczyła teraz po raz pierwszy,

pomyślałabym na pewno, że to jakaś stara baba. Ale wiem, że nie ma jeszcze nawet czterdziestu lat.

Przychodzi i staje obok matki najstarsza córka Józefów, duża już dziewczynka, Mańka, której nie byłabym poznała, chociaż kiedyś bawiła się w piasku przed naszą kuchnią.

Dowiaduję się, że Irenka Kwietnianka wyszła za męża. Mieszka w tej samej wsi.

— Ale ma takiego młodego męża, że nie wiem — i Weronka śmieje się, że są takie głupie, co za takich młodych wychodzą.

— A ta młoda, wdowa po Wile, nie wyszła za męża?

— Kto ją tam może wiedzieć: przyszła, poszła, nic o niej nie wiadomo.

— Ale starego Perguła to szkoda — mówię. — A któż to tam teraz wystawił sobie kuźnię koło samego domu?

— Nikt, tylko że Pergułowa wzięła sobie kowala z miasta. Będzie czwarty miesiąc, jak się pobrali. Dobrze ma, bo tu teraz wszystkim blisko, od tych wsi do niego precz chodzą kuć konie, z wozami tam, z pługami. — Dobry kowal, nie można powiedzieć.

Westchnęła.

— Ale Perguła to każdy żałuje. Co go się nie namordowali, to nikt nie może mieć wyobrażenia. A to go kłuli, a to znów przypiekali albo tam świdrowali, że nie swoim głosem krzyczał. Jej to nic nie robili, tylko kazali, żeby z dziećmi siedziała i nie ruszała się z drugiej izby. Ona jest delikatnego serca kobieta, to nie mogła wcale słuchać tego, jak go mordują, i wciąż ich prosiła: szanowne panowie, zamknijcie chociaż te drzwi, żeby nie było tak słycać. No to zamknęli, ale i przez drzwi także słyszała. — Delikatna bardzo kobieta, okropnie desperowała, jak jej umarł.

Posmutniałyśmy obie od tego opowiadania.

A tu nagle z izby wychodzi ktoś — w czystej różowej sukience, w białych pantofelkach, w białej chustce na głowie. Mam szczęście dzisiaj! Toż to Magda, której nie widziałam od całych lat, o której tak chciałam się czegoś dowiedzieć. A nie pytałam o nią Weronki tylko przez delikatność, pamiętając, że z siostrą męża wcale dawniej nie chciała się zadawać. Była tą przecież, o której Wiła nieboszczyk mówił, że jest porządna. A Magda należała do kobiet, które nie w cnocie znajdowały swe szczęście.

Widocznie więc się pogodziły. Z latami dawne urazy poszły w niepamięć.

Magda idzie prosto do nas i staje uśmiechnięta. Zabyłło od niej świeżością i młodością na tym brudnym, wiejskim podwórku.

Ucieszyłam się szczerze.

— Jak się masz, Magdo? — zawołałam. — Doskonale wyglądasz, nie zmieniłaś się nic. A przecież, Boże drogi, ileż to lat!... Tytus musi już być duży.

Ona patrzy ku mnie i śmieje się tym samym, niezniszczalnym, bezzębnym swoim śmiechem młodości.

— Teraz mam dobrze — mówi — to ładnie wyglądam. A w zimie jestem jeszcze ładniejsza: białeję. Nie potrzebuję pracować, tylko sobie trochę chodzę do miasta po posługach i tak do różnej roboty.

Weronka słucha, patrząc spokojnie, z rękami opartymi wygodnie na występie brzucha. Nie, nie ma w niej zgorszenia ani potępienia. Jest spokój rozumny wobec faktu, ponieważ niczym nie dał się odwrócić.

— Tytus ma już szesnaście lat i pracuje w hucie — objaśnia ze swej strony.

— Robi jak stary — chwali się Magda — zarabia dosyć dobrze i mnie wszystko oddaje... Gdzie! większy już ode mnie. Cały w ojca.

Patrzę na nią: ma zawsze te same rumieńce na brzydkiej ciemnej twarzy, a duże jej oczy płoną dawnym ogniem życia.

— Z nikim się tam nie stowarzysza, matkę szanuje...

— A Andzia?

— Andzia też już wyrosła... Tylko te moje drugie, to nic się jakoś nie chowają: będzie czwarty tydzień, jak znowuż pochowałam Karolka. Całe szczęście, żeśmy go jeszcze ochrzcili. Wszystkiego żył pięć dni...

Zmartwiłam się. — „Oj, Magdo, Magdo — myślałam sobie, patrząc na nią z wyrzutem — więc to nie zmieniło się nic? więc trwają dalej te twoje noce miłosne ze starym gajowym, te kryjome wędrówki po mokrych torfowiskach do lasu — cała twoja poniewierka, całe głupie, żalodne szaleństwo twojej młodości”.

— Andzia tu nawet jest, przyszła ze mną do ciotki, z Felcią gdzieś wyleciały popatrzeć... Bo my tu teraz mieszkamy stąd niedaleko, zaraz koło lasu...

Ach, zaraz koło lasu...

Magda zawołała na córkę — i zjawiła się też owa Andzia, dziwnie jakoś wyglądająca: duża głowa o oczach niebieskich, zupełnie miła główka ośmioletniej może dziewczynki tkwiła na małym, wątym tułowiu dziecka trzyletniego.

— Wyrosła, tylko że nie bardzo — poprawia się Magda.

Z Andzia przyszła Felcia i różne inne dzieci Weronki, które w rozwarciu wrót ustawiły się półkolem, jak do fotografii: Stefanek, Władek, Wikcia i całkiem mały Zdzisio.

Diana, która dotąd leżała na brzuchu ziając, powstała, obeszła dzieci i po kolei powąchała. Każde odstaąpiło na krok w tył, a Diana wróciła na swoje miejsce.

Wtedy Stefanek zapytał Władka:

— Czy wiesz, do kogo jest taki pies? Władek nie wiedział, więc Stefanek objaśnił:

— Do zająców.

— Potrafi wszystko — przechwalała się dalej Magda — ugotować, pozmywać, iść co kupić — jedno, że taka jest dosyć mała. Zdrowa i mocna. Tylko na jedne kości to już zawsze bardzo jest delikatna... Drugie mi pomarły, tyle tylko mam, co tego Tytusa i tę Andzię. Ale dobre są dzieci, nie mogę powiedzieć...

O tym czasie Pomidor objadł już gałąź bzu, sterczącą z ogródka ku wrotom i obrócił się parę razy wkoło siebie drobiąc kopytami. Nie było wątpliwości: chciał już wracać do domu. Musiałam to wziąć pod uwagę. Zbliżał się wieczór.

Pożegnałam zebrane dzieci i Weronkę gospodarną, i Magdę, uśmiechającą się z dumą i spokojem tego, komu los niczego nie poskąpił.

Wracamy do domu — tą samą drogą wiosenną, przez szerokie pola, nad łąkami.

Słońce zachodzi. Olbrzymi świat, niebo i ziemia się palą, w powietrzu ciemniejącym mgły dymią czerwone i ognie złote gasną za wielkimi, czarnymi sosnami.

Wracamy. Widać już dom i ogród, i drzewa na górze, ale wszystko wydaje się czarne pod światło zachodu: dach swój i przystań ostatnia.

Tęskniłam za moim domem. A oto jestem tu znów i jeszcze raz.

Z góry, ponad rozrosłymi drzewami sadu widać jeszcze tu i ówdzie jasnozielone trójkąty łąki, zalane słońcem. Pod lasem w dali stoją kopki siana. Bliżej, gdzie zieleń jest dziwnie równa i gładka, pasą się krowy.

Odwracam tylko głowę i widzę te różnobarwne krowy, niejako wiszące w słońcu nad drzewami, odcięte wraz z trójkątem łąki przez starą czereśnię o najśłodszych owocach, i wierzch dębu, rosnącego już na samym dole. To jest to samo miejsce, gdzie pasł się kiedyś tak nieżyczliwy, roztropny i uważny Pomidor.

Gdy się tak patrzę z góry, oba dęby, brzozy, osiny i olchy, rosnące nad łąką, wydają się nie takie duże. Jedne sięgają do lasu na horyzoncie, inne wierzchołkami wchodzą na niebo, a inne dochodzą tylko do połowy łąki. A pnie mają schowane za koronami czereśni, grusz i jabłoni.

Ale gdy zejść na dół i stanąć w ich cieniu, to są to już wspaniałe, stare drzewa.

Wieczorem wracam do domu z suchymi igłami sosnowymi i kawałkami twardego, szarego mchu we włosach i na ubraniu. I zawsze dość długo muszę się oskubywać.

Odjadę znów, ale jeszcze wrócę, zawsze wrócę. A kiedyś wreszcie wrócę i już zostanę.

Górki Wołomińskie 1924 r.

NOTA WYDAWNICZA

Powieść Zofii Nałkowskiej *Dom nad łąkami* powstawała na przestrzeni kilku lat. Załącznikiem jej stał się szkic *Na torfowiskach* wydany w roku 1922 w Warszawie (Książki Ciekawe nr 22), a poprzedzony jakby próbami tekstu drukowanymi we fragmentach po różnych czasopismach. Temat *Domu nad łąkami* nurtował Nałkowską latami. H. Kirchner pisze we *Wstępie* do drugiego tomu *Dzienników*: „Wieloletnie współistnienie z na poły wiejskim, na poły ogrodowym krajobrazem Górek kształtuje z pewnością w Nałkowskiej jakąś specyficzną «postawę epicką», widoczną wyraźnie w *Domu nad łąkami*, która każe akceptować kolisty czas natury, czas rodzenia i przemijania. Niewątpliwa plastyczna wrażliwość Nałkowskiej znajdowała istotny wyraz [...] właśnie w odbiorze natury, wielorako wzbogaconym przez jej zmysł dla harmonii, kolorów i światła pejzażu. To tło «domu nad łąkami», te mazowszańskie ogrody Nałkowskiej, opisane tylekroć w tej księdze dziennika, stają się tyleż krajobrazami ziemi rodzinnej, co i ducha, łąkami i drzewami polskiej kultury...»*

Pierwszy fragment *Domu nad łąkami* pod tytułem *Sielanko* zamieściła Nałkowska w czasopiśmie „*Bluszcz*” w roku 1918 nr 2—8. Następny fragment powieści wydrukowała w r. 1919 w piśmie „*W słońcu*” nr 8 pod tytułem *Z dziecinnych wspomnień*. W roku następnym 1920 w tygodniku „*Świat*” nr 12 ukazał się *Powrót*, kolejny odcinek, oraz w „*Tygodniku Ilustrowanym*” w r. 1922 nr 2 *Górki*. Wszystkie te fragmenty pochodzą z pierwotnej wersji *Na torfowiskach* stanowiącej początek powieści *Dom nad łąkami* aż do rozdziału XII (s. 48 obecnego wydania). W roku 1924 w „*Tygodniku Ilustrowanym*” nr 42–54 zamieściła Nałkowska fragment *Domu nad łąkami* pod tytułem *Dzieje sąsiedzkie*. Natomiast w „*Wiadomościach Literackich*” z r. 1925 nr 21 wydrukowała fragment *Domu nad łąkami* pt: *Pomidor* i jest to już tekst z nowo dopisanych partii książki.

Pierwsze wydanie książkowe *Domu nad łąkami* ukazało się w roku 1925 nakładem Wacława Czarskiego i S-ka, w Warszawie. Następne wydanie powieści nastąpiło dopiero w roku 1937, i to po całkowitym przerobieniu tekstu przez Nałkowską.

Poprawki wprowadzone przez autorkę do wydania drugiego sprowadzają się do jednego celu generalnego: zatarcia dystansu socjalnego narratorki wobec opisywanych postaci, jej stosunku jakby „patronackiego” czy protekcyjnego wobec nich. Usuwa więc sentencje obcojęzyczne, dystansujące opowiadaczkę wobec wypadków losowych, o których opowiada, zmienia szczegóły mówiące o stosunkach „państwo” i „służba”, „demokratyzuje” nawet swoją pozycję społeczną, łagodzi opis postaci zbyt podkreślający ich szpetotę, zmienia często tryb gramatyczny narracji: z pierwszoosobowej na bezosobową, jakby w celu uczynienia z tych spostrzeżeń prawdy ogólniejszej, zbiorowej, nie jednostkowej, wreszcie wymienia niektóre słowa na rodzime lub nowsze np.: cętki zamiast paillety, robi też drobne skróty, uzwięzła narrację, zmienia nazwisko Dziobkowie na Dziobakowie.

Dla zilustrowania wymienimy tu przykładowo kilka odmian tekstu, podając stronę obecnego wydania:

Na s. 5 akapit czwarty z r. 1925 brzmiał: „Na progu samym tego lasu zobaczyliśmy ów domek, a przed nim chudą, wysoką, odzianą w łachmany babę lub raczej wiedźmę”. W wersji z roku 1937: „Na samym progu lasu zobaczyliśmy domek, a przed nim czarną, chudą, wysoką, odzianą w

* Z. Nałkowską, *Dzienniki II 1909–1917*, opracowanie, wstęp i komentarz Hanna Kirchner, W-wa Czytelnik 1976, s. 15.

łachmany kobietę.” Na s. 6 w wydaniu pierwszym: „I cztery konie, wszystkie białe, w czarne i szare kółka, które ciągnęły karetę z babcią do kościoła i nazywały się siwe, choć tylko jedna para była stara, a druga młoda.” Wersja z wydania drugiego: „I konie, wszystkie białe, w czarne i szare kółka, cztery konie, które nazywały się siwe, chociaż tylko jedna para była stara, a druga młoda.” Wydanie pierwsze s. 7: „I jeżeli stanie się, że umrę gdzie indziej, to jednak o tym właśnie pomyślę w ostatniej godzinie, pomyślę tymi samymi słowami, które powiedziałam już raz największej głębi serca i najmocniejszej wiary: dom swój i przystań ostatnia.” Wydanie drugie: „I jeżeli stanie się, że umrę gdzie indziej, to jednak o tym właśnie pomyślę w ostatniej godzinie, pomyślę tymi samymi słowami, które powiedziałam już raz: dom swój i przystań ostatnia.” Wydanie pierwsze s. 21 obecnego wydania: „Dom! — c’est une fason de parler.” Wydanie II: „Dom! tak się to mówi!” Wydanie I s. 21: „Pani Dziobakowa znajdowała się właśnie o tej porze przed domem i ryła w błocie małe kręte ścieżki swego przyszłego ogródka! Osadziłam konia i zagadnęłam taktownie: — Dzień dobry pani. To pani tu będzie mieszkała?” Wydanie drugie: „Pani Dziobakowa znajdowała się właśnie pod tę porę przed domem i ryła w błocie małe, kręte ścieżki swego przyszłego ogródka. — Dzień dobry pani. To pani tu będzie mieszkała?” Wydanie I s. 33: „Wiła był kaleką, a nawet można powiedzieć, pokraką. Widywałyśmy go od dzieciństwa — jeszcze przedtem, zanim DzioDKOwie sprowadzili się w nasze strony. Obie nogi miał jakieś pokręcone i prawie bezwładne.” Wydanie II: „Wiła był kaleką. Widywałyśmy go od dzieciństwa — jeszcze przedtem, zanim Dziobakowie sprowadzili się w nasze strony. Obie nogi miał skrzywione i prawie bezwładne.” Wydanie I, s. 40: „Ale jakże mogło być inaczej? W owym czasie służył u nas już nie Władysław, dla którego świat nie miał tajemnic, ale Józef Kwiecień, chłopak dobry i nawet co prawda sprytny, ale tylko wtedy, kiedy nie było trzeba.” Wydanie II: „Jakże mogło być inaczej? W owym czasie nie było już w tych stronach Władysława, dla którego świat nie miał tajemnic. Ale Józef Kwiecień, chłopak, dobry i nawet co prawda sprytny, choć tylko wtedy, kiedy nie było potrzeba, też znał sąsiadów.” Wydanie pierwsze s. 59: „Okazało się, że celem odwiedzin było nie tylko uzyskanie pieniędzy na chrzciny. Magda wyznała, że pragnęłaby widzieć w panience matkę chrzestną swego chłopaka. Bronka poizła i przyprowadziła panienkę: zgodziła się od razu trzymać do chrztu syna Magdy. Patrząc na dziecko powiedziała: — Co za ładny chłopak — Prawda? — podkreśliła zaraz Magda. — A kiedy chrzciny? — W niedzielę! — objaśniła. I nawet te krótkie słowa wypowiedziane były z dumą.” Wydanie II: „Okazało się, że celem odwiedzin Magdy było nie tylko pokazanie chłopaka, ale także zaproszenie na chrzciny. — A kiedy chrzciny? — W niedzielę! — objaśniła. I nawet te krótkie słowa wypowiedziane były z dumą.” Wydanie I s. 87: „Na jej to prośbę jednego lata Emilka przychodziła na naukę do panienki razem z innymi wiejskimi dziećmi”. Wydanie II: „Na jej żądanie jednego lata Emilka chodziła na naukę do córki organisty razem z innymi wiejskimi dziećmi”. Wydanie I s. 87: „Bywa żywa, myśląca, ciekawa. Sama kiedyś poprosiła, że chciałaby uczyć się mówić po francusku — i od razu powtarzała każdy wyraz z łatwością i dokładnością zadziwiająco. Co raz usłyszała, umiała na zawsze. — Powiedziałam to jej ojcu. Dziękował bardzo, że Marcia się uczy.” Wydanie II: „Była żywa, myśląca, ciekawa. Co raz usłyszała, umiała już na zawsze. — Mówił o tym z dumą jej ojciec, bardzo zadowolony z tego, że Marcia się uczy.”

Tyle przykładów jeśli chodzi o te dwa wydania. Nie sposób tu wymienić wszystkich, podaliśmy przykładowo kilka, by pokazać, w jakim kierunku zmieniała Nałkowska tekst w stosunku do pierwodruku. Jeśli chodzi o zmiany zachodzące pomiędzy drukiem w czasopiśmie i pierwszym wydaniem książkowym z roku 1925, to są one niewielkie, a idące przede wszystkim w kierunku wygładzenia tekstu. Podamy przykładowo tylko dwa: w „Wiadomościach Literackich” 1925 nr 21, jest „Kinusa lubił, dla mnie zaś był obojętny”, w pierwszym wydaniu książkowym: „Kinusa lubił. Dla mnie zaś był obojętny”. „Świat” r. 1920 nr 12: „Wtedy właśnie wierzgał zadnimi nogami i

ruszał gniewnie”; w wydaniu pierwszym „Wtedy właśnie wierzgnął zadnimi nogami...”

Poza tymi dwoma wydaniem *Dom nad łąkami* wznowiono po wojnie w roku 1947 nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego i tekst ten nie nosi śladów żadnych poprawek w stosunku do wydania drugiego. W roku 1953 *Dom nad łąkami* ukazał się również w tej samej oficynie wydawniczej oraz w roku 1956 w *Pismach wybranych* nakładem S. W. „Czytelnik”. Wydania te powtarzają tekst za wydaniem drugim z roku 1937 poza drobnymi poprawkami, których jednak nie wprowadzamy do obecnej reedycji. Są one zresztą drobne, jak np.: „A przecież coś jednak sprawiło, że nie można go było uważać za znajomego” zamiast „sprawiało” jak jest w wydaniu z roku 1937.

Wydanie obecne przejmuje tekst z roku 1937 z wydania drugiego, jako jedyne poprawione i przygotowane przez autorkę, usuwając z niego nieliczne usterki drukarskie, stwierdzone przy kolacjonowaniu tekstu z pierwodrukami w czasopiśmie i wydaniem książkowymi. Pisownię oraz interpunkcję unowocześniono według obowiązujących obecnie zasad.

Zofia Mycielska–Golik